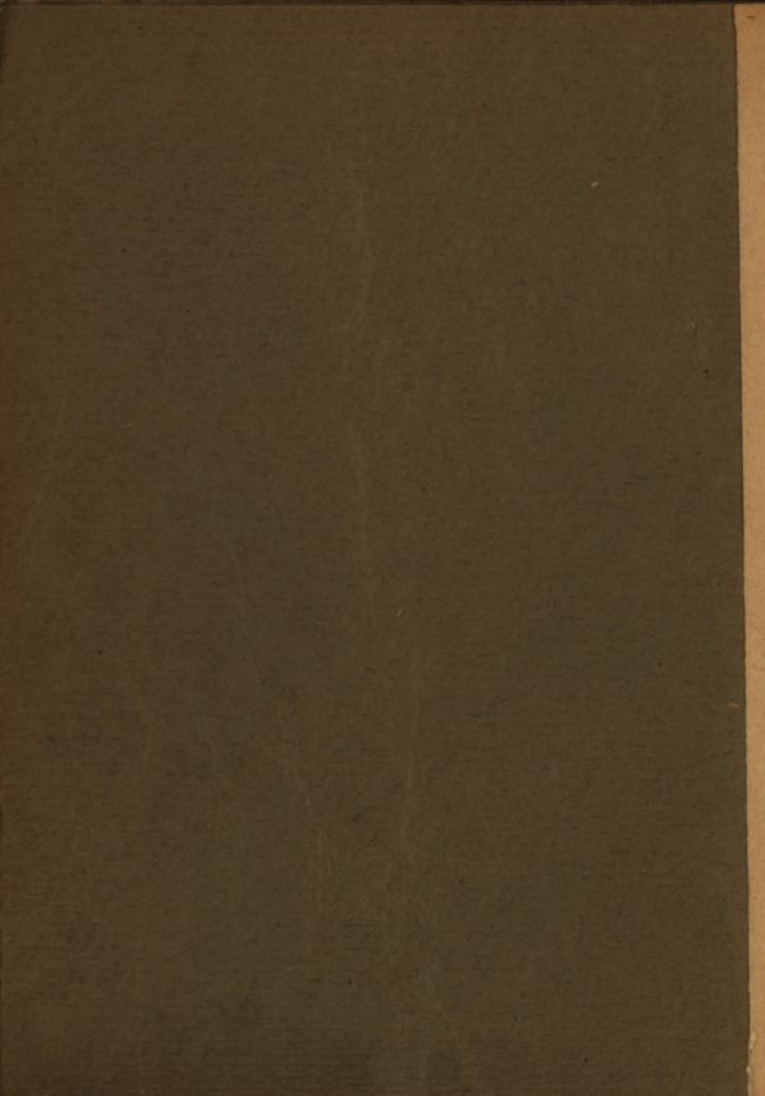


1304



W. BIELOSTEK
URZĘDNIK WYKONAWCZY
SEKCJA IV.

:: MINIATURE ::
HUMORYSTYCZNE



MINIATURY HUMORYSTYCZNE

PRZEŁOŻYŁ
CRATAEGUS



1912.

KRAKÓW. — G. GEBETHNER I SPÓŁKA.
WARSZAWA. — GEBETHNER I WOLFF.

S.P.V.

A-17981

BIOTEKA
UMCS
LUBLIN



1000173381

Literat. 136.

K. 1160/56/271

SPIS RZECZY.

	Str.
A. CZECHOW: Emigrant	1
A. KUPRIN: Marabuty	9
A. KUPRIN: Demir Kaja	21
A. KUPRIN: Chrystusowa ryba	27
A. KUPRIN: Pudelek	33
A. KUPRIN: Toast	37
L. ANDREJEW: Wielkolud	45
L. ANDREJEW: Ben Towit	49
W. BERENSZTAM: Ze wspomnień adwokata	57
M. GORKIJ: Pieśń o Zwiastunie Burzy	71
A. KUPRIN: Morderca	73
S. ASZ: Na brzegu Wisły	83
S. ALEJCHEM: Matuzal	61
S. ALEJCHEM: Dzieci	103
A. STRINDBERG: Feniks	117



A. CZECHOW.

Emigrant.

zaw.

(Humoreska).

arzyło się to w niedzielę, w południe. Właściciel dóbr Kamyszew siedzi sobie w pokoju przy stole i spożywa śniadanko. Przy stole wraz z nim siedzi wygolony starannie Francuz Mr. Champougne. Champougne był w swoim czasie guwernerem u Kamyszewa, któremu powierzono wychowanie jego synów, później, gdy synkowie Kamyszewa podrośli i zostali oficerami — jak zwykle synkowie rodowej szlachty rosyjskiej — Champougne został przy rodzinie, coś niby guwernantka rodzaju męskiego. Zajęcie ex-guwernera Mr. Champougne'a nie jest zbyt uciążliwe. Obowiązany jest ubierać się przyzwoicie, pachnieć perfumami, słuchać uważnie paplaniny Kamyszewa, jeść, pić, spać — ponad to, nic więcej, zdaje się. Za to dostaje Mr. Champougne całodzienne utrzymanie, lokal i wielką liczbę prezentów...

Kamyszew wsuwa dalej i — jak zwykle — papie bezustannie.

— Pfe! — mówi, trąc chustką oczy, które zaszyły

łzami, zjadł bowiem niechcący kawałek mięsiwa zbyt grubo posmarowanego musztardą! — Uf! Aż do głowy poszło i do wszystkich członków. Doprawdy, w nogach czuję! Nie, wasza francuska musztarda nie działa tak silnie, chociażbyś zjadł cały słoik!

— Rzecz gustu — odpowiada krótko Chaugne — jeden lubi francuską musztardę, ino rosyjską... Wogóle rzecz gustu.

— Ktoby tam znów lubił francuską! Chyba tylko Francuzi! A Francuz, wiadomo przecie, zje wszystko, co tylko mu dać: i żaby, i szczury, i karaluchy... brr! Panu, ot naprzykład nie smakuje, jak widzę, ta pieczeń, a dlaczego? Dlatego tylko, że rosyjska, a dać, naprzykład, panu szkło pieczone i powiedzieć, że to francuskie, to pan je będzie jadł i jeszcze się oblizywał. Wam, wiadomo przecie, wszystko, co rosyjskie, niedobre i wstrętne, Jeszczeby!

— Tego bynajmniej nie mówiłem!

— Wszystko, co nasze — brzydkie, za to francuskie — *o! c'est tres joli!* Dla was, przecie, niema lepszego kraju jak Francya, a dla mnie? No i cóż to jest takiego ta wasza Francya! Myślałby kto, że nie wiem co! A tu raptem: kawałek ziemi. Pańską Francję mogę w jeden dzień trzy razy objechać, a u nas wyjdiesz za wrota, to i kresu nie ujrzysz! Miesiącami jedziesz i jedziesz! Ot, co!

— Tak, Monsieur, Rosya to kolosalny kraj!

— Przytem dla was, Francuzów, prócz Francuzów niema ludzi. Jedyne mądry i uczony naród... Cywilizacya! Kultura! Owszem, prawdą jest, że wszyscy Francuzi są uczeni, dobrze wychowani, mają ładne maniery... tak to prawda. Francuz zawsze na czas poda kobiecie krzesło, nie będzie raków jadł widelcem, nie będzie pluł na podłogę, tak to prawda, ale tego ducha i rozmachu, co w nas Rosyanach, w nim niema! Ot, co! Ducha tego w was niema! Nie umiem tak dokładnie panu tego wytłomaczyć, jak chciałbym, ale czegoś takiego wam brak... Czytałem gdzieś w książce, że wy wszyscy Francuzi, rozumu nauczyliście się z książki, my zaś, Rosyanie, mamy rozum wrodzony... A wyedukuj Rosyanina, jak należy, to się z nim żaden wasz francuski profesor nie będzie mógł równać!

— Bardzo możliwe... dlaczegożby nie... — mówi Champougne, z bólem na twarzy.

— Nie bardzo możliwe, nie! Nie potrzebnie się pan krzywi. Prawdę świętą mówię. Umysł rosyjski jest wynalazczy, duch przedsiębiorczy, a przytem my, Rosyanie, nie jesteśmy zarozumiali... Jeżeli który z nas wynajdzie co, to albo sam zaraz zniszczy, albo da dzieciom do zabawy, a Francuz, gdy nawet wynajdzie jakie głupstwo, to drze się z radości na cały świat. Ot, niedawno naprzykład,

woźnica mój Jan zrobił z drzewa człowieka takiego, że gdy go pociągnąć za nitkę, to człowiek robi gest nieprzyzwoity. Bardzo oryginalny wynalazek, a jednak Jan wcale się tem nie chełpił. I wogóle mnie się nie podobają ci Francuzi! Nie mam tu na myśli pana, ale ot, tak wogóle mojem zdaniem: niemoralny to naród. Z pozoru niby to ludzie, a żyją jak bydłeta... Weźmy, naprzykład, małżeństwo... U nas, gdy się kto żeni, to trzyma się żony, a u was, dyabli wiedzą, co! Mąż siedzi sobie cały dzień w café-chantant, a żona pościąga sobie pełno gości i dalejże z nimi kankana!

— To fałsz! — wtrąca gniewnie Champougne. Francya szanuje związki małżeńskie...

— No, no, wiem ja dobrze, jak szanuje! Wstydzi się pan przyznać do prawdy. Mówię zupełnie szczerze: świnie nie ludzie, tak, świnie... Całe szczęście, że ich Niemcy wybili! Daj im Panie Boże zdrowie...

— Wobec tego, nie rozumiem, *monsieur*, — zrywa się Francuz z krzesła — dlaczego mnie pan tu trzyma, jeżeli pan tak nienawidzi moich rodaków?

— A gdzież pana podzieję?

— Puść mnie pan z powrotem do Francyi!

— Ha, ha, ha! Co-o-o? Jeszcze czego! Teraz mam pana puścić do Francyi. Wszakże sam pan zdradził swoją ojczyznę! Raz pan powiada, że Napoleon I to wielki człowiek, drugi raz, że podły... sam dyabeł nie dojdzie, o co panu chodzi...

— *Monsieur* — mówi Champougne po francusku, plując i miętosząc w rękę serwetkę. — Większej obrazy jak pan nie wyrządziłby najgorszy wróg mej ojczyźnie. Między nami wszystko zerwane! — Tu robi ręką gest tragiczny. Poczem ciska z wdziękiem serwetkę na stół i wychodzi z gracyą z pokoju.

W trzy godziny potem służba zmienia naczynie na stole i podaje obiad. Kamyszew siada sam do obiadu. Wypija kieliszek wódki, ale swędzi go język, tak chciałby znowu gadać, a tu niema z kim...

— Co robi Alfons Champougne? — pyta lokaja.

— Zbiera rzeczy.

— Głupiec, daruj mu Boże! — mówi Kamyszew i idzie do Francuza.

Ten siedzi na podłodze w swoim pokoju i układa do kufra bieliznę, flaszki z perfumami, książki do nabożeństwa, krawaty, szelki. Z jego wielkich niebieskich oczu spływają łzy do kufra.

— Co pan robi? — pyta Kamyszew.

Francuz milczy.

— Chce pan koniecznie jechać? Wie pan co? Nie będę pana zatrzymywał! Owszem... Tylko, ot jak pan pojedzie bez paszportu? Ciekawym bardzo... wie pan co? Zgubiłem gdzieś pański paszport Wsunąłem go gdzieś, sam nie wiem gdzie, między papiery i przepadł... A u nas z paszportami ostro teraz. Nie daleko pan zajedzie. Już na piątej wiorście pana złapią...

Champougne podnosi głowę i patrzy z nieufnością na Kamyszewa.

— Widzi pan! Zaraz z twarzy domyślą się, że pan nie ma paszportu, a wtedy: kto pan taki? Alfons Champougne. Ha, ha, ha! Znamy my takich Alfonsów! „Może raczy pan przejechać pół świata tanim kosztem — etapem?”

— Pan żartuje?

— Cóż znowu! A to dlaczego? Chodzi mi tylko o to, żeby pan potem nie płakał i nie pisał do mnie. Bo co do mnie, to nawet palcem nie kiwnę, gdy zobaczę, jak pana będą pędzili zakutego w kajdany...

Francuz zrywa się blady jak ściana, i z szeroko rozwartymi oczami biega po pokoju.

— Boże, co mi pan narobił? — mówi, łapiąc się w rozpacz za głowę. Boże mój! Przeklęta niech będzie ta chwila, kiedy mi przyszła do głowy myśl opuszczenia drogiej ojczyzny!

— No, no, no... ja żartuję! — mówi Kamyszew, zmieniając ton mowy. Głuptak z pana, nie zna się pan na żartach! nie można nawet słowa powiedzieć...

— Mój drogi panie! — szlocha Francuz, uspokojony już nieco — ja, jak Boga kocham, lubię Rosyę i jestem przywiązany do pana i pańskich dzieci. Opuścić was, to dla mnie tyle, co śmierć! Cóż, kiedy pan każdym słowem swoim rani mi serce...

— Aj, głuptasie! A dlaczego to pana drażni, gdy ja sobie drwię z Francuzów? Przecież z tyłu ludzi się drwi i nikt się nie obraża! Głuptak z pana! Niech pan bierze wzór z arendarza Lejzorka! Przezywam go przecież rozmaicie: i żydem i parchem, i świńskim uchem i pociągnę go za pejsy... a on nic, nie obraża się!

— No tak, dla pieniędzy zdolny do wszystkiego...

— Jakoś tam będzie! Chodźmy na obiad. Daj pan rękę na zgodę!

Francuz pudruje zapłakaną gębę i idzie z Kamyszewem do pokoju. Pierwszą potrawę spożywają w milczeniu, przy drugiej powtarza się ta sama historia i tym sposobem cierpieniom biednego Francuza niema kresu.

A. KUPRIN.

Marabuty.

(Humoreska).

...Wszerz i wzdłuż przeszedłem całą Szwecję i Norwegię, zjeździłem Niemcy, zawitałem do Anglii, przez dłuższy czas wałęsałem się po brudnych, wązkich uliczkach Rzymu i wreszcie — po dwuletniej włóczędze — wróciłem znów do ojczyzny...

Byłem wtedy wolny jak ptak, jak ludożerca, niczem nie związany, nieraz głodny i ślaniający się po ulicach wielkiego miasta w południowej części kraju, jednakże mimo to wszystko oddychałem pełną piersią i radośnie uśmiechałem się do nieba i słońca.

I oto razu pewnego, zabrnąłem z próżniactwa do jakiejś olbrzymiej, ciemnej kawiarni, nastraszyłem rozespanych w pierwszym pokoju kelnerów i poszedłem dalej ku drzwiom, z poza których dolatywał gryzący odór z marnego tytoniu i wstępnego kawy.

Wszedłszy do małego, zaniedbanego i lichy oświetlonego pokoiku, uczyniłem krok naprzód i zatrzymałem się zdumiony.

W kłębach dymu, za blatami pożółkłych stolików, siedziały jakieś dziwne, milczące postacie z opuszczonymi na kwintę nosami i — milczały.

Zgarbione plecy, cudaczne kaptury u palt i poważne, zasepione wyrazy ich twarzy — wszystko to odrazu przypomniało mi szereg kiedyś widzianych ptaków z długimi dziobami, z puszystymi kołnierzami dokoła długich szyj, zgarbionych, o głupim, znudzonym wyrazie — ptaków zwanych: marabutami.

— Marabuty! — zawołałem wesoło.

Postacie ani drgnęły, tylko z pod wieszaka wysunął się ponury szwajcar, nie wiadomo dlaczego też przypominający podstarzałego marabuta i ochrypłym głosem odparł:

— Ci nie bywają, proszę łaski pana...

— Kto? — Marabuty?

— Tak. My wszystkich gości znamy. Ale ci nie bywają...

Zrobiło mi się, nie wiem czemu, bardzo wesoło.

Podszedłem do jednej z długonosych postaci, kryjącej swe zgarbione ramiona w poszarpanym kapturze paltota, a poklepawszy ją po ramieniu, ryknąłem jej z całej siły do ucha:

— Marabucie!

Stary niespokojnie poruszył się, spojrział na mnie swemi wypłowiałemi oczyma, poczem przeniósłszy wzrok na swego sąsiada, zapiszczał:

— Rób pan chód!

Wszyscy co do jednego, oprócz szwajcara, siedzieli nad szachami.

Niektórzy z nich nie grali, ale siedząc na uboczu, kręcili się koło graczy, kiwali długimi nosami i nie odrywając ani na chwilę oczu, utkwili wzrok w miniaturowych figurkach z żółtego i czarnego drzewa, tworzących na szachownicy dziwną, niezrozumiałą dla mnie kombinację.

— Marabuty! — śmiałem się na głos — cha, cha, cha, cha! Marabuty!

Po tyloletniej włóczędze po Italii, Anglii, po szerokim, bezkresnym świecie, wydał mi się dziwnie nieprawdopodobnym, dzikim — że nie powiem już wymysłem — ten ciemny pokój, pełen milczących, zgarbionych ptaków z długimi, obwisłymi nosami, w kłębach szarego, śmierdzącego dymu...

Sięgnąłem ręką po niezajęte krzeselko, przesunąłem się między dwoma zakopconymi widzami i utknąłem nosem w blacie z toczonemi figurkami.

Ze słyszenia wiedziałem, że istnieją jakieś królowe, laufry, konie i pionki; a wskutek przyzwyczajenia odczytywania wszystkiego co do rąk wpadnie, nieraz widywałem na ostatnich stronach gazety dział poświęcony tajemniczej grze w szachy, dzięki czemu zapamiętałem, że prawie każdą partję zaczyna tajemniczy chód pionka: d 2—d 4.

Jeden z graczy, wśród ogólnego milczenia, ci-

chutko podniósł rękę i przestawił maluteńką figurkę naprzód o jedną kratkę...

Wszyscy widzowie oraz partner poruszyli się ze skupieniem w twarzach, ja zaś, przymrużywszy ironicznie oko, odezwałem się na głos:

— To mi chód...

Wszyscy naraz zwrócili ku mnie swe nosy, u jednego zaś z partnerów w czasie zwrócenia się w moją stronę, nawet szyja jak gdyby skrzypnęła.

— Marabucie! — oświadczyłem. Zrobiłeś pan wielki błąd...

— Bądź pan łaskaw nie czynić na głos żadnych uwag i również powstrzymać się od rad — bezdźwięcznym głosem zapiszczał jeden z graczy.

— Kiedy mię to złości, że ten pan zrobił taki chód, który po sześciu posunięciach sprowadzi nań wielką katastrofę!

— Milcz pan!

— Już milczę... cóż mnie tam!

I znowu grobowa cisza zaległa pokój wraz z poźółkłymi marmurowymi stolikami.

Przy sąsiednim stoliku jeden z graczy uniósł żółtą, jak łapa marabucia, rękę i posunął jakąś figurę. Musiałem i tu się wmieszać...

— Na Boga! — zawołałem ze zgrozą — co on wyprawia! Co ten człowiek wyprawia!

— Nie przeszkadzaj pan! Czyż nie wie pan, że widzowie nie mają prawa mieszać się do gry?

— Do gry? Alboż to — gra? Alboż to można grą nazwać?... Hańba, nie gra!

— Milcz pan!

— Już milczę... cóż mnie tam!

Pokój wydał mi się prawdziwym cmentarzem. Rzekłbyś, że to zmarli popowstawali z mogił, popodnosili kołnierze od palt i rozpoczęli zażartą grę.

— Marabucie! — znów odezwałem się. — Jak na taką lichą grę, to za wiele pan medytuje. Trzeba brać się inaczej! Śmielej! Coś pan teraz, na przykład, zrobił za chód? Konia trzeba było ot tu postawić!

Jeden z graczy nerwowo pokiwał głową, drugi zaś — ten, co zrobił posunięcie — odparł opryskliwie:

— Jakże można go tu postawić? Przecież pionek go bije!

— Niechaj. — To i cóż z tego?

— Dla pana, być może, to nic, a ja niepotrzebnie konia stracę. Niebotrzebnie...

— Ależ, powiadam panu, że nie napróżno! Już po dziesięciu posunięciach będzie pan miał wyższość nad przeciwnikiem! Ten gambit był w podręczniku Szachogłupskiego...

— No, ja tak dalece nie sięgam...

— A szkoda!

Jeden z obserwujących grę z zaciekawieniem spojrzał na mnie i rzekł:

— Tam wolny stolik... Możebyśmy tak spróbowali z panem partyjkę?

Ale ja zadarłem głowę do góry, wpadłszy w niepohamowany szal wesołości i rzekłem:

— Jeżeli pan tak gra, jak ci panowie, to zrzekam się...

— A to dlaczego?

— Dlatego, że z ludźmi, którzy reperują buty łączą mnie zazwyczaj określone stosunki: oddaję im tylko buty do reperacji i w żadne więcej ceremonie nie wdaję się! Zresztę, aby rozerwać się, pokażę panom, jak się powinno grać: niech dziesięciu najlepszych graczy z pośród panów gra ze mną jednocześnie, na dziesięciu szachownicach... Jestem pewien, że nie będzie mi trudno odnieść zwycięstwo...

Wtedy jegomość ów ze zdumieniem spojrział na mnie i ze drżeniem w głosie zapytał:

— Przepraszam... jak pańska godność?

— Widzi pan... na razie nie chciałbym ujawniać swego nazwiska z powodów bardzo delikatnej natury.

— I pan naprawdę ośmiela się grać z dziesięcioma z pośród tych panów... jednocześnie?...

— Bezwarunkowo.

— Hm... A czy wie pan, że kilku z nich odniosło zwycięstwo na wszechświatowych konkursach?

Wzruszywszy ramionami, odparłem tonem nieprawdopodobnej pogardy i lekceważenia:

— O! Jest mi to najzupełniej obojętne.

Ostatnie moje słowa wyrażały szczerą prawdę: było mi to rzeczywiście najzupełniej obojętne...

Jegomość, który przed chwilą ze mną rozmawiał, powstał i głośno klasnął w dłoń.

Marabuty poruszyły się, podniósłszy nosy.

— Panowie! Ten oto młody człowiek ośmiela się z dziesięcioma z nas grać jednocześnie!...

— Nawet z dwunastoma! — dodałem obojętnie...

Wszystko poruszyło się w kawiarence. Wielu z graczy podniosło się i podeszło ku mnie bliżej, a wszyscy utkwili w mojej twarzy swój wzrok zdumiony.

— Kto jesteś, młodzieńcze? — zapytał pewien staruszek, nie spuszczać ze mnie ani na chwilę swego zgasłego od lat i gry w szachy spojrzenia.

— Czy to pana tak bardzo interesuje? gracz i basta!

— I ty ośmielasz się grać jednocześnie z dwunastoma?...

— Dodaj pan: — z takimi graczami, jak ci oto panowie — odparłem zjadliwie, krzyżując ręce na piersiach.

Niektórzy z graczy zanotowali swe partye, coś poszeptali do siebie, wreszcie podszedłszy do mnie, oświadczyli:

— Zgoda!

Pokój wnet się ożywił. Wszystkie marabuty opuściły swe stoliki. Wyciągnawszy z pod kołnierzy pal swe długie, gołe szyje, poczęły krzątać się, biegać... Skądś ukazał się arkusz papieru, na którym niektórzy z graczy poczęli zapisywać swe nazwiska.

Siedziałem za jednym ze stolików, ściśle osaczony gwarną, falującą masą ludzi i paliłem obojętnie papierosa, spoglądając przy tem od czasu do czasu z nudów — na sufit...

A tymczasem kilkunastu ludzi krzątało się bez przerwy, zajętych urządzeniem jednego ogólnego stołu i ustawieniem dwunastu szachownic.

Jakiś rudy jegomość w żółtym krawacie, oczywiście kiepski, niedoświadczony jeszcze gracz, popatrział z zabobonnym lękiem na wszystkie szachownice, poczem zbliżył się do mnie i ze współczuciem i ze łzami w oczach, uścisnął mi rękę.

— Żegnam pana — odezwałem się wręcz.

— Nie, ja nie żegnam pana... tylko bardzo współczuję panu... Jeden przeciwko dwunastu... To niepodobna! Mój Boże, czy też pan wygra...

Poklepałem go przyjaźnie po ramieniu.

— Nie martw się, mój panie, o mnie. Nie taki dyabeł straszny, jak go malują. Hej, panowie, czy gotowe już wreszcie?

— Gotowe. Panowie! Raczcie zająć miejsca. Tu miejsce pańskie, łaskawy panie.

Rolę arbitra przyjął na siebie staruszek z wypłowiałymi oczyma. Staruszek usadowił graczy po jednej stronie stołu, mnie zaś przeznaczył tę stronę, po której nie było wcale krzeseł.

— Proszę. Pan będzie musiał chodzić, śledząc za posunięciami, od tego brzegu do tego...

— Nie życzę sobie tego — odparłem hardo. — Będę grał, nie patrząc na szachownice. To mówiąc, odszedłem w najdalszy kąt pokoju.

Dwunastu wybitnych marabutów usiadło rzędem, jak przystało wytresowanym ptakom i natychmiast utknęło nosami — w szachownicach.

— Pierwszy chód pański, łaskawy panie — zwrócił się do mnie arbiter.

Zrozumiałem, że tu się kończy mój żart; marabuty — co było moim zamiarem — zostały przemnie wyrwane ze stanu odrętwienia, ale jak ich opuścić — doprawdy, nie mogłem na razie wymyśleć...

W zapasie miałem pierwszy i jedyny chód, jaki zapamiętałem przy rozczytywaniu się w gazetach, ale jaką figurę trzeba było uruchomić, aby go uskutecznić — nie wiedziałem...

— Panowie! Pierwszy chód mój: d 2 — d 4! Proszę was, zróbcie zamiast mnie!

Dwanaście łap marabucich przybliżyło się ku figurkom i dwanaście figurek na dwunastu szachownicach przesunęło się o dwie kratki naprzód.

Następny chód czarnemi — wykonali moi partnerzy.

Co do mnie, to spojrzałem bacznie na ich szachownice, a nie zrozumiawszy nic, literalnie nic, wpadłem w głęboką zadumę... Czułem, że pora już zwiać. Jednakże, wzruszywszy ironicznie ramionami, huknąłem na głos: — b 1 — b 3...

Wszystkie głowy zdumione zwróciły się ku mnie.

— Pan zapewne chciałeś powiedzieć: b 1 — c 3?

— To chciałem powiedzieć, co uważałem za stosowne — odparłem oschle przez zęby...

— Ale przecież takiego ruchu niema! Przecież koń nie może posuwać się po prostej linii!

Parsknąłem śmiechem.

— Ta-ak? Doprawdy? Taki pan pewien? A czy zna pan... gambit marabuci?

Gracze zdębieli.

— Takiego gambitu niema.

— Doprawdy? Tacyście pewni siebie?! Naturalnie... Siedzicie tu w tej cuchnącej, zadymionej, zakopconej norze, i machnąwszy ręką na wszystkie zdobycze, poczynione w ostatnich czasach w tej wielkiej, niezgłębionej, szlachetnej, iście królewskiej grze, zwanej grą w szachy...

— To waryat... — mruknął ktoś z kąta.

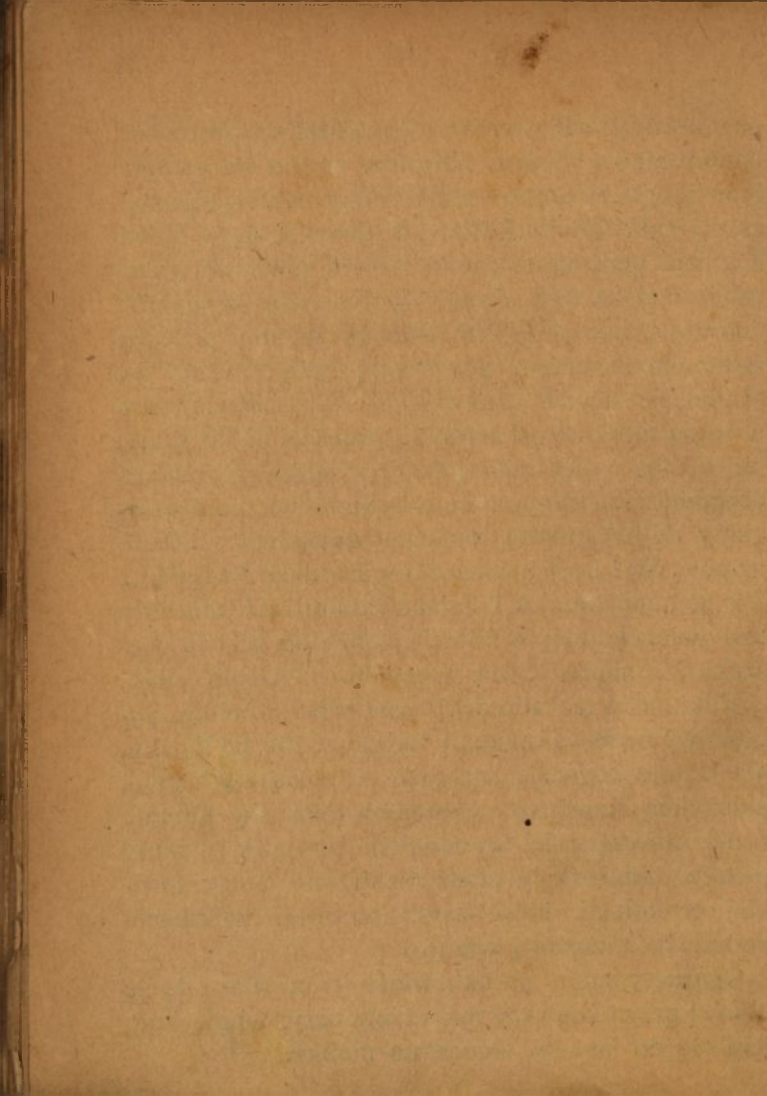
— Waryat? — krzyknąłem ze złością, wskakując na krzesło. — Tak! Po wszystkie czasy, wszędzie, gdzie tylko ludzkość istnieje — wszystkich

nowatorów, odkrywców, wynalazców, proroków, męczenników wiedzy, filozofów zwano waryatami! I do czego to doprowadziło? Czy może się postęp zatrzymał? Wieża Eiffla, jak dawniej sięga nieba, a koleje podziemne coraz bardziej pokrywają skorupę ziemską swą siecią! Ja twierdzę, że gambit marabuci istnieje! Ten właśnie gambit pozwala robić chód koniem po prostej linii, a jeżeli wy ośmielacie się nie uznawać go — to ciskam wam w twarz okropne oskarżenie: jesteście podłe krety, które ulękły się świeżej fali powietrza i powodzi promieni słonecznych, co uosobione we mnie wtargnęły do skostniałej, zatechłej atmosfery rozkładu trupów. Nie! Dość już tego! Hej, na ulicę! Na ulicę!...

I pomimo krzyku i hałasu kilkunastu marabutów najspokojniej w świecie zbliżyłem się do wieżaka i z zimną krwią włożyłem na siebie palto.

Kilkunastu marabutów podskoczyło do mnie, zaczęło wymachiwać rękami i piszczeć nie po ludzku, ale ja, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi, nałożyłem kapelusz, wyprostowałem się dumnie i nie spiesząc się, wyminąłem posępny, ciemny pokoik, zamieszkały przez te dziwne okazy ludzkiej ornitologii, które zaraz po mem zniknięciu podniosły straszliwą wrzawę.

Ogarnęły mnie naraz świeże tchnienie i życie ulicy i przymknąwszy rozkosznie oczy, uśmiechnąłem się do jasnego słońca na niebie...



A. KUPRIN.

Demir-Kaja.

(Z legend wschodnich).

Wiatr ustał. Jak się zdaje, wypadnie nocować na morzu. Do brzegu raptem trzydzieści kilometrów. Dwumasztowa łódź leniwie przechyla się z boku na bok. Mokre żagle zwinięto.

Biały tuman osłonił łódź. Nie widać ani gwiazd, ani morza, ani nocy. Nie rozpalamy ognia.

Seid-Abły, stary, brudny i bosy „kapitan“ czółna, cichym, poważnym i pełnym głębi głosem opowiada mi starą historię, w którą chcę wierzyć całą duszą. Chcę wierzyć, gdyż noc tak strasznie milcząca, gdyż nad nami śpi morze niewidzialne, a my, osłonięci mgłą, płyniemy powoli w jej białych, gęstych kłębach...

* * *

„Nazywał się Demir-Kaja. Po waszemu to znaczy: Skała Żelazna. Nazwano go tak dlatego, że człowiek ten nie znał ani litości, ani wstydu, ani bojaźni.

Grasował ze swą bandą w okolicy Stambułu, i w błogosławionej Tessalii, i w górzystej Macedonii, i po niezmiernych, bezkresnych pastwiskach bułgarskich. Dziewięćdziesięciu ludzi padło od jego ręki, a w liczbie tej byli starcy, kobiety i dzieci.

Aż razu pewnego otoczyło go w górach potężne wojsko Padyszacha — niech go Allah ma w swojej opiece! — Trzy dni odstrzeliwał się Demir-Kaja, odgryzał niby wilk przed chmarą psów. O świcie czwartego dnia przebił się przez wojska wraże, ale sam jeden. Część jego towarzyszy padła podczas zacieklego pościgu, reszta poniosła śmierć na wielkim placu publicznym z rąk kata w Stambule.

Poraniony i krwią broczący leżał Demir-Kaja przy ognisku w niedostępnej pieczarze, gdzie ukryli się górskie pastuchy. I oto pośród nocy ukazał mu się anioł z gorejącym mieczem i poznał w nim Demir-Kaja zwiastuna śmierci — Azraila, wysłańca niebios i rzekł:

— Niech będzie wola twoja, Allahu! Jam gotów. Ale anioł odezwał się:

— Nie, Demir-Kajo! — twa godzina nie wybiła jeszcze. Słuchajże woli Allaha! A kiedy wstaniesz z łoża śmierci, pójdź, wykop z ziemi swe skarby i wymień je na złoto. A potem skieruj się wprost na wchód i idź do tej pory, dopóki nie ujrzysz skrzyżowania się siedmiu dróg; tam wybuduj dom

z przewiewnymi pokojami, z czystą wodą w fontannach, z szerokimi sofami, z jadłem i napojem dla wędrowców, z zapaszystą kawą, oraz przewonną nargilą dla zmęczonych. Zapraszaj wszystkich ku sobie, kto będzie szedł i jechał obok, i usługuj im, niby ostatni niewolnik. Niech dom twój — będzie ich domem, złoto twoje — ich złotem, krzątanie się twe — ich wytchnieniem. I oto wiedz, że nadejdzie czas, kiedy Allah zapomni o grzechach twoich i wybaczy ci krew swoich dzieci...

Wtedy Demir-Kaja zapytał:

— Jakież znak da mi Allah, że mi grzechy wybacza?

A anioł rzekł:

— Z ogniska, co tli się tuż obok, weź ogorzałą głównię pokrytą popiołem i wetknij w ziemię. A kiedy martwe drzewo pokryje się korą, puści listki i zakwitnie — wiedz, że przyszedł czas twego wyzwolenia.

Od tej chwili minęło dwadzieścia lat. Na całą krainę Padyszaha — niech go Allah ma w swojej opiece! — sławną była kawiarnia przy skrzyżowaniu się siedmiu dróg między Geddi a Smyrną. Żebrak wychodził z niej z rupiami w torbie podróżnej, głodny — nakarmionym do syta, zmęczony — orzeźwionym, ranny — wyleczonym...

Przez dwadzieścia lat, przez dwadzieścia lat dłu-

gich, patrzył co dnia Demir-Kaja na cudowny kawał drzewa, wkopany na dziedzińcu, ale drzewo pozostało czarnem i martwem. Zgasły orle oczy u Demir Kaji, zgarbiła się jego postać mocarna, a włosy na głowie zbielały, niby skrzydła anioła Azraila.

Aż oto razu pewnego o świcie usłyszał Demir-Kaja tętent koński, wybiegł na drogę i ujrzał jeźdźca, który pędził na koniu zdyszany. Rzucił się ku niemu Demir-Kaja, porwał konia za uzdę i począł błagać jeźdźca :

— O, bracie mój! Wejdz w moje podwoje! Odśwież twarz swą zimną wodą z fontanny, pokrzep się jadłem i napojem, osłódź swe usta przesłodką wonią kaljenu!

Ale jeździec krzyknął ze złością :

— Puść mnie, starcze! Puść!

I splunął jeździec w twarz Demir-Kaji, i uderzył go ręką bata po głowie i pomknął dalej.

Wtedy wybuchła w starym Demir-Kaji rozbójnicza krew dumna! Podniósł z ziemi ciężki głąz i cisnął go w stronę jeźdźca. Zachwiał się jeździec na siodle, schwycił za głowę i padł na ziemię z zdruzgotaną czaszką.

Przerażony swym uczynkiem pobiegł ku niemu Demir-Kaja i załkał z bólem w sercu :

— O, bracie mój! Ja cię zabiłem!

Ale konający rzekł :

— Nie tyś mnie zabił, ale ręka Allaha. Słuchajże! Paszą naszego wilajetu jest człek okrutny, chciwy i niesprawiedliwy. Druhowie moi uplanowali nań spisek. Ale ja dałem się znęcić sutą nagrodą. Zamierzyłem więc zdradzić ich. I oto, kiedym mknął na tym koniu z doniesieniem o spisku, zatrzymał mnie gład w drodze twoją ręką rzucony. Tak, Allah. Niech będzie imię jego święte! Żegnaj.

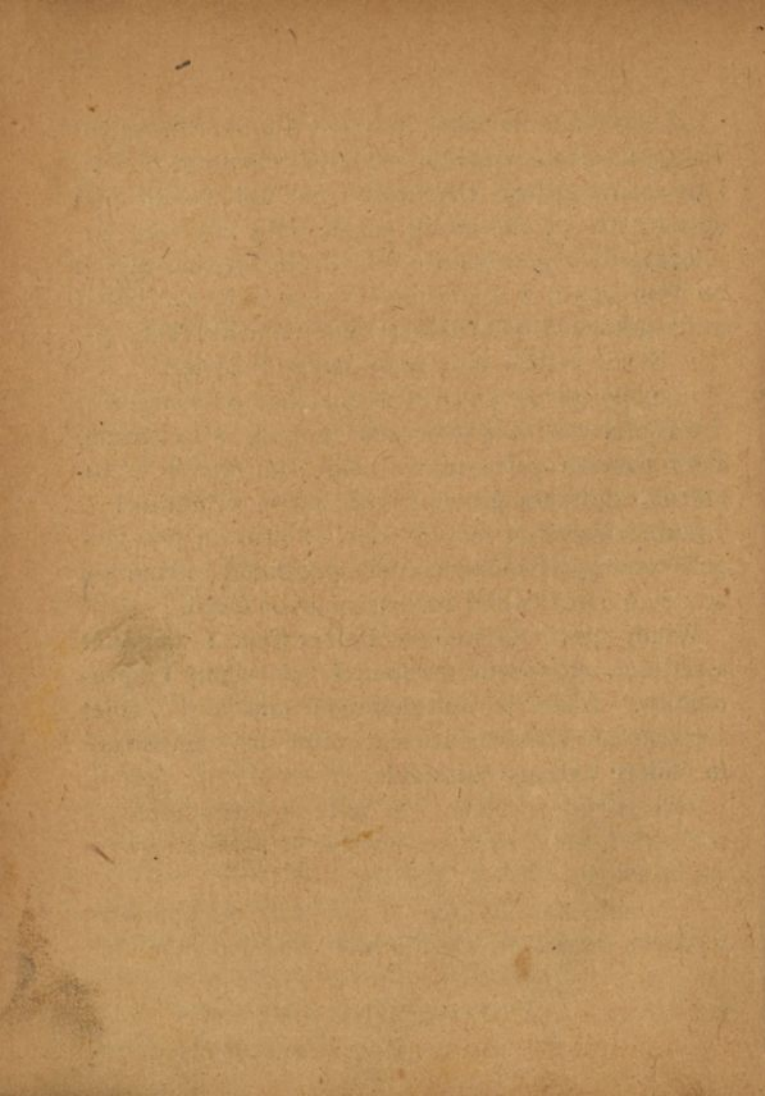
Przejęty goryczą wrócił Demir-Kaja na swój dziedziniec. Z rozpaczą w oczach spojrzał w tę stronę, kędy codzień zatrzymywał się jego wzrok — na czarną, ogorzałą głównię. I nagle — o, cudzie! — ujrzał, jak w jego oczach martwe drewno poczyna puszczać pędy, pokrywać się pączkami, stroić się w zieleń i rozkwitać różowymi kwiatkami...

Wtedy padł na kolana Demir-Kaja i zapłakał z radości, albowiem zrozumiał, że wielki i sprawiedliwy Allah w niezgłębionej mądrości swojej darował mu dziewięćdziesiąt ofiar niewinnych — za śmierć jednego zdrajcy!

BIBLIOTEKA

URZĘDNIK: TOW: WZAJ: UB: W KRAKOWIE

SEKCJA IV.



A. KUPRIN.

Chrystusowa ryba.

(Z legend rybackich).

Tę prześliczną, odwieczną legendę opowiedział mi w Balakławie „kapitan“ berlinki rybackiej, Cola Constandi, prawdziwy grek, wyborny marynarz i jeszcze lepszy pijak.

W tym czasie uczył mię on wszelakich mądrości, tyjących się specjalności rybackiej.

Pokazywał mi, jak należy reparować porwane sieci i skręcać węzły, jak nakładać przynętę na haczyki wędek, jak zarzucać sieci na *kamsę*, a jak na *kefałę*, jak skrobać nożem *petalidi*, przyrosłe do skały, jak się je świeże sardynki, jak poznaje nocną pogodę z dziennego przypływu morza, jak rozwija żagle, zarzuca kotwicę i mierzy głębie wody...

Z pospiechem tłómaczył mi różnicę pomiędzy właściwościami a kierunkami wiatrów morskich, jak: *levanti*, *greba-levanti*, *sirocco*, *tremontona*, straszny *bora*, wiatr sprzyjający i wiatr wrogi.

Jemu również zawdzięczam poznanie zwyczajów

rybackich i ich przesądów podczas łowienia ryb: nie wolno gwizdać na berlince, nie wolno wymyślać ani wspominać dyabła, chociaż wolno kląć w razie niepowodzenia: grób, przodków, wątrobę, oczy kochanki itd. Dobrze jest pozostawić w sieci, jak gdyby przez nieuwagę, małą rybkę — to przynosi szczęście; ale niech Bóg strzeże od wyrzucenia za krawędź czółna czy berlinki czegokolwiek do zjedzenia, gdy się jest daleko od brzegu; ale najgorsze, najszkodliwsze, czego żaden rybak nie daruje, jest to zapytanie się rybaka: „Dokąd idziesz? Za to dostaje się w gębę...”

Dowiedziałem się również od niego o istnieniu jadowitej ryby, *drakus*, podobnej do małej płotki i o tem, jak ją należy zdejmować z haczyka; o różnych pomysłach jeża morskiego, o strasznym podwójnym ogonie elektrycznego *skata* i wreszcie o tem, jak pomysłowo wyżera krab morski ostrygę, wstawivszy uprzednio mały, ostry kamyczek w jej skorupę...

Niemaló też dosłyszałem od Constandi'ego ciekawych, pełnych tajemnicy opowieści rybackich w te słodkie, ciche godziny wczesnej jesieni, gdy nasze czółno kołysało się na falach morza, daleko od osłoniętych mgłą brzegów, a my zaś we dwóch czy we trzech, przy żółtawem świetle ręcznej lartarki, popijaliśmy, nie spiesząc się, różowe wino greckie, które czuć jeszcze winogronami.

„Wśród Oceanu żyje wąż morski długi na kilometr. Niekiedy, nie częściej jednak nad raz na dziesięć lat, wypływa on na powierzchnię wód morskich, aby nabrać powietrza. Jest samotny. Dawniej tych węży morskich było wiele, samców i samic, ale tyle wyrządziły one złego małym rybkom, że Bóg skazał je na wymarcie i teraz zaledwie jeden stary, tysiącletni wąż samiec w samotności dożywa swych lat. Starzy marynarze widywali go to tu, to tam w różnych stronach oceanu...”

Żyje gdzieś wśród morza na bezludnej wyspie, w głębokiej podwójnej pieczarze król raków morskich. Kiedy uderzy kleszczą o kleszczę, to na powierzchni morza powstaje nawałnica...”

„Ryby mówią ze sobą — o tem wie każdy. Donoszą sobie nawzajem o różnych niebezpieczeństwach, o pułapkach i pomysłach ludzkich, dlatego też niedoświadczony rybak na długi czas może zepsuć dobre miejsce, jeżeli wypuści rybę z sieci”.

Takie są próbki opowieści Coli Costandi. Słyszałem także nieraz od niego o Latającym Holendrze, o tym wiecznym tułaczku morskim, z czarnymi żaglami i wymarłym pokładem. Zresztą, tę straszną legendę znają dziś wszyscy, a wierzą w nią wszyscy mieszkańcy morskich pobrzeży Europy.

Ale jedna legenda, opowiedziana mi przezeń, wzruszyła mię szczególnie dla swej naiwnej prostoty rybackiej.

Razu pewnego, o świcie, kiedy słońce jeszcze nie wzeszło, a niebo było koloru pomarańczy i po morzu snuły się mgły różowe, ja wraz z Colą wyciągaliśmy sieć zarzuconą wczoraj z wieczora na *skaty*. Połów był nad wyraz marny. W sieci znalazło się pięć czy sześć jakichś maleńkich rybek, pięć czy sześć jeży morskich, kilka tuzinów grubych złocistych karasi i sporo *meduzy*.

Ale znalazła się także bardzo osobliwa, dotychczas niewidziana przezemnie ryba. Kształt miała owalny, płaski i mogła być zmieścić się na dłoni kobiecej. Porysowaną była gęstemi, drobnemi, przejrzystemi smużkami. Maleńka główka, a na niej oczy wcale nie rybie: czarne, ze złotemi obwódkami, niezwykle ruchliwe. Kolor ryby — złocisty. Najbardziej zaś uderzającemi na tej rybie były dwie plamy, każda na jednym boku, pośrodku, wielkości dużej monety i koloru tak jasno-niebieskiego, jakiego nie posiada żaden malarz.

— Popatrz pan — rzekł Cola Constandi — to Chrystusowa ryba. Bardzo rzadko się trafia...

Włożyliśmy ją najprzód do rybackiego czerpaka, a potem, powracając do domu, napełniłem dużą, emaliowaną miednicę morską wodą i wpuściłem do niej „rybę Chrystusa“. Ta szybko poczęła pły-

wać po powierzchni miednicy, dotykając się jej ścianek i wciąż w jednym i tym samym kierunku. Gdy dotykano się jej, wydawała zaledwie uchwytne, krótki, chrapliwy pisk i przyspieszyła biegu. Czarne jej oczy obracały się bezustannie, a od ruszania małemi pletwami drżała i kołysała się woda.

Chciałem ją zachować, aby odwieźć żywą do Sebastopola, do akwaryum stacyi biologicznej, ale Constandi tylko ręką na to machnął:

— Nie warto i trudu sobie zadawać! Nie wyżyje. Taka już ryba. Gdy ją się choć na sekundę wyjmie z morza, nie będzie żyła... To Chrystusowa ryba.

Ku wieczorowi usnęła. Ja zaś, siedząc w nocy w czółnie niedaleko od brzegu, przypomniałem ją sobie i spytałem Constandi'ego:

— Cola, a dlaczego ją zwą Chrystusową?

— A oto dlatego — odparł Cola z głębokim przekonaniem: — starzy grecy tak o niej mówią. Kiedy Jezus Chrystus, Pan nasz, zmartwychwstał na trzeci dzień po swym zgonie, to nikt weń nie chciał wierzyć. Widziano wiele cudów jego za życia, ale w zmartwychwstanie nie chciano wierzyć.

Zaparli go się uczniowie, zaparli apostołowie, wyrzekły córy jerozolimskie. Wtedy poszedł do swojej matki. A stała ona wtedy u ogniska i piekła rybę na rożnie, szykując obiad dla siebie

i bliskich. Chrystus odezwał się do niej: „Bądź pozdrowiona! Otom ja, syn twój jedyny, którym wstał z martwych, jak zwiastowało pismo. Pokój z tobą. Nie lękaj się!”

Ale ona zadrżała i zawołała przerażona:

— Jeżeliś ty jest prawdziwy syn mój, uczynć cud, a uwierzę!

Uśmiechnął się Chrystus, iż mu nie wierzy i rzekł:

— Oto wezmę tę rybę leżącą na ogniu i ożyje. Czy uwierzysz mi wtedy?

I za ledwie, dotknąwszy się dwoma palcami ryby, podniósł ją w górę, gdy ta zatrzepotała się naraz i ożyła...

Wtedy uwierzyła matka jego w cud i radośnie uczciła syna. A na rybie od tego czasu na wieki pozostały dwie plamy jasno-niebieskie. Są to ślady palców Chrystusa...

* * *

Tak podał mi prosty, nieuczony rybak grecki naiwną legendę morską. Po niej jakim czasie do wiedziałem się, że ta „ryba Chrystusa“ ma także inną nazwę: „ryba Zeusa“. Któż zgadnie: jak zamierzonych czasów sięgają te apokryfy?

A. KUPRIN.

Pudelek.

Mam teraz w domu śliczną psinę — czarnego pudelka.

Wabi się „Łajdak“.

Nazwano go tak wcale nie dlatego, by obrazić jego psią godność. Nie, bynajmniej. Nazwano go tak dlatego, że w okresie dostawiania zębów gryzł ~~do~~ stołków i stolików, żuł prastare portrety ~~na~~ wypływał je w brzydkim i oślinionym stanie, wbiegał jak oszalały do kurnika pani gospodyni, wypędzał stamtąd wszelkie ptactwo i szczekał na nie głośno: dzięki jego „łajdactwu“ wszystkie kury biegały jak powaryowane po dziedzińcu, gdały i gubiły upierzenie.

Raz nawet wyrządził nam wcale niemiłą niespodziankę. Wpadł do pokoju podczas domowego koncertu i tak podle zaczął akompaniować słynnemu skrzypkowi, że ten wyniósł się od nas raz na zawsze i wątpliwe, czy kiedykolwiek jeszcze zajrzy...

Pomijam te wszystkie „łajdactwa“, jakie systematycznie wyrządził służbie. Jak się zdaje, bito go też nieraz za to po cichu w kuchence...

Dziś rano dałem mu kawał chleba z masłem, ale mój pudelek ostrożnie, i jak się zdaje tylko przez grzeczność, zlizał masło i znów ułożył się u mych nóg, patrząc mi w oczy smutnie pytającymi oczyma...

Wiem dobrze, że memu pudelkowi mija rok i że teraz przychodzi nań okres „wycieczek“, ale i to wiem także, że w tem biednem stworzeniu obudziła się już świadomość i że wskutek tego staje się nieszczęśliwym.

Bez ustanku, delikatnie i niestrudzenie błaga mnie, by wyjść na ulicę, koniecznie sięść do doróżki i pojechać gdziekolwiek, aby tylko on mógł biec w tedy obok doróżki i czekać na koło, które obraca się, obraca, obraca... Później wybiegnie na przód i będzie ze szczekaniem skakał koniowi do mordy.

Podczas tego mówi do konia:

— Proszę cię, zatrzymaj się, daj mi pomyśleć nad tem, czemu to koło obraca się, nie mogę tego zrozumieć, a tak bardzo chciałbym to wiedzieć...

Ale to konia nie wzrusza: w nim tętnią potężne zwierzęce instynkty, z których z taką obojętnością korzystamy my, ludzie, zużytkowując dla owych celów jego siłę, nerwowość, piękno jego kształtu, zdolność zapamiętywania miejsc, niewybredność w jedzeniu.

Koń mknie pod batogiem ze ślepem poddaniem się i myśli o owsie.

A tymczasem mój biedny, czarny pudelek, znów zwraca się do mnie, wskakuje do dorożki, usadawia się obok i płacze, doprawdy płacze :

— Wyjaśnij mi ty, mądry, niezgłębiany czarodzieju, ty, który umiesz sprawiać cuda, rozpalać ogień, ty, komu jest łatwo zdobyć jadło — wyjaśnij mi: dlaczego koło się kręci? Powiedz, po co istnieję na tym świecie? Dlaczego tak mocno jestem przywiązany do ciebie, i czy nie lepiejby mi było być złym i zgłodniałym wilkiem, biegać jak on po leśnej gęstwinie, spać jak on wśród krzaków i drzew korzeni i z rozkoszą żłopać krew zająca, któremu się gardziel przegryzie?“

O, miła, biedna i dobra psino... Otóż to chodzi właśnie, że i mnie nie jest lepiej na świecie, niż tobie! Otóż to chodzi, że i ja wiecznie szukam swego Boga, aby go spytać z utęsknieniem i męką:

Co jest czas? Co jest ruch? Dlaczego żyję tak krótko i tak niepotrzebnie? I dlaczego każdy czyn mego życia jest zatruty cierpieniem? Niekiedy nawet rozkosznem cierpieniem?!

O, miła moja, dobra psino: nam na to nikt nie odpowie!

Widzisz, że ja sam teraz płacę, przejęty trwogą i bólem i tą świadomością, co się we mnie zbudziła.

A może wszystko to jest nadzwyczaj proste, a może i ja i ty, wraz z naszą męką, jesteśmy śmieszni? A może tu gdzie na uboczu siedzi sobie taki dyablik-dowcipniś, który wie dobrze, że całe te pytania sprowadza się do jak najprostszej i jak najmniej skomplikowanej formuły algebraicznej?

Siedzi sobie i wie wszystko, ale umyślnie nic nam nie chce powiedzieć.

I nigdy nie powie!

A. KUPRIN.

Toast.

(Fantazyja).

Upływał dwuchsetny rok nowej ery. Pozosta-
wało zaledwie piętnaście minut do tego miesiąca,
dnia i godziny, w których dwieście lat ledwie temu
ostatni kraj o ustroju państwowym, najbardziej
opierający się postępowi, najkonserwatywniejszy
i najciemniejszy ze wszystkich krajów, Rosya —
zdecydował się nareszcie rozstać się ze swą zda-
wną przestarzałą, śmieszłą narodową samoistno-
ścią i ku wielkiej radości całego świata przystąpił
do wszechświatowego socyalistycznego związku
wolnych ludzi. Podług zaś starego chrześcijańskiego
kalendarza była teraz wigilia 2906 r.

Ale nigdzie nie witano nowego dwuchsetnego
roku tak wspaniale, tak uroczyście, jak na pół-
nocnym i południowym biegunie, na tych głównych
stacyach wielkiej, elektroziemskiej, magnetycznej
Asocyacji. Przez przeciąg ostatnich 30 lat kilka-
naście tysięcy techników, inżynierów, astronomów,
matematyków, architektów i innych uczonych spe-
cjalistów z całym zaparciem się siebie pracowało

nad urzeczywistnieniem najdonioślejszej, najbardziej heroicznej idei II wieku. Postanowili oni przemienić kulę ziemską w jakąś gigantyczną elektromagnetyczną piłkę i w tym też celu oplątali ją od północy do południa spiralą ze stalowych, owiniętych w gutaperkę drutów, długości około 4 miliardów kilometrów. Na obu biegunach ustawili o przeolbrzymiej sile elektromotory i wreszcie połączyli między sobą wszystkie zakątki ziemi, tak samo na wszystkich sąsiadujących z nią planetach, z którym mieszkańcy ziemi utrzymywali stałe stosunki.

Wielu wszakże patrzyło na te wyniki Asocyacyi z nieufnością, inni z obawą, a jeszcze inni z trwogą...

Ale ubiegły rok — był rokiem zupełnego tryumfu Asocyacyi nad sceptycyzmem. Wszechpotężna, magnetyczna siła ziemi puściła w ruch wszystkie fabryki, warsztaty, maszyny rolnicze, koleje żelazne i parostatki. Oświeciła wszystkie ulice i wszystkie domy, ogrzała wszystkie lokale. Uczyniła zbytecznym dalszy użytek węgla kamiennego, którego pokłady już oddawna wyczerpały się. Starła z oblicza ziemi potwornie wielkie, dymiące się kominy fabryk, zatruwające powietrze.

Ocaliła kwiaty, trawy i drzewa — tę jedyną radość ziemi — od grożącego im wymarcia i zguby. Wreszcie wydała niesłychane rezultaty w rolnictwie,

podniósłszy wszędzie wydajność gruntu prawie w dwójnasób.

* * *

Jeden z inżynierów północnej stacyi, wybrany na dziś prezesem, powstał ze swego miejsca i podniósł puhar ku górze. Wszyscy umilkli. Prezes odezwał się:

— Towarzysze — życzyście tego sobie, to natychmiast połączymy się z naszymi drogimi współtowarzyszami, pracującymi na stacyi południowej. Przed chwilą sygnalizowali do mnie...

Ogromna sala narad poczęła mknąć w nieskończoną dal. Był to wspaniały gmach ze szkła i żelaza i marmuru, ozdobiony egzotycznymi drzewami, bardziej podobny do pięknej oranżeryi, niż do publicznego lokalu. Z zewnątrz gmachu była noc polarna, ale dzięki działaniu pewnych kondensatorów, jaskrawe światło słoneczne rzęsiście oblewało i zieloność traw, i stoły, i kształtne kolumny, podtrzymujące sklepienie i cudne obrazy i statuetki w przedsionkach i tysiączne twarze uczujących w sali. Trzy ściany sali narad były przezroczyste, ale czwarta, do której plecami stał inżynier prezes, był to czterokątny ekran, wyrobiony z niezwykle delikatnego, kruchego, cienkiego i błyszczącego szkła.

I oto, otrzymawszy zgodę zgromadzonych, prezes

dotknął się palcem do maleńkiego guziczka, umieszczonego w stole. Ekran momentalnie rozjaśniał blaskiem wewnętrznym, a jak gdyby od razu rozjaśniał, a zanim ukazał się takiż sam wysoki mknący w dal przecudny pałac i tak samo, jak i tu, siedzieli za stołami mocarni, piękni ludzie z radosnym wyrazem na twarzach, w lekkich, połśniewających szatach. I ci i tamci rozdzieleni na 25.000 kilometrów, poznali jedni drugich, uśmiechali się ku sobie i na znak powitania podnosili ku górze puhary.

Ale skutek ogólnego śmiechu i okrzyków nie słyszeli jeszcze swych głosów.

Wtedy znów powstał prezes i natychmiast umilkli jego przyjaciele i współpracownicy na obu krańcach kuli ziemskiej.

Odezwał się:

— Drodzy moi bracia i siostry! I wy przepiękne kobiety, ku którym teraz zwraca się moje serce! I wy, któreście mnie dawniej kochały, i wy, dla których serce moje jest pełne uwielbienia! Słuchajcie mnie! Chwała wiecznie młodemu, cudnemu, niewyczerpanemu życiu! Chwała jedynemu bogu na ziemi — człowiekowi! Oddajmyż hołd wszystkim uciechom jego ciała i oddajmyż hołd jego wielkiemu i nieśmiertelnemu rozumowi.

Oto patrzę ja na was — dumni, śmieli, mężni, weseli — i żarem miłości zapala się dusza moja!

Nic nie krępuje naszego umysłu, niema granic dla naszych żądz! Nie znamy ani uległości, ani władzy, ani zawiści, ani gwałtu, ani oszustwa. Każdy nowy dzień otwiera przed nami nowe otchłanie tajemnic życia i coraz radośniej poznajemy bezkres i wszechmoc wiedzy. I nawet śmierć nas nie lęka, albowiem odchodzimy z życia nie wypaczeni ohydą starości, nie z dzikiem przerażeniem w źrenicach i nie z przekleństwem na ustach, a piękni, podobni bogom z uśmiechem na wargach i nie chwytamy się kurczowo resztek życia, a tylko cicho przymykamy powieki, niby znużeni wędrowcy. Praca nasza — jest naszą rozkoszą. A miłość nasza, uwolniona z więzów niewoli i podłości — podobna do miłości kwiatów i jak one jest wolna! A jedynym panem naszym — jest geniusz człowieka!

Przyjaciele moi! Być może, mówię wam rzeczy oddawna wszystkim znane. Ale nie mogę postąpić inaczej. Dziś rano czytałem, nie mogąc się oderwać, niezwykle ciekawą i straszną księgę. Była to — „historia wieku XX“.

Czytając ją, nieraz pytałem siebie, czy nie baśń czytam czasem? Tak nieprawdopodobnem, tak ohydny i bezmyślny wydało mi się życie przodków naszych, odległych od nas o 9 wieków!

Brudni, okrutni, zbrodniczy, zarażeni mnogiemi chorobami ciała i duszy podobni byli do gadów

obmierzłych, zamkniętych w wielkiej klatce! Jeden kradł u drugiego kęs chleba i kryjąc się z nim przed drugim, zanosił go gdzieś do ciemnego kąta i kładł się nań brzuchem, aby ktoś inny nie widział.

Inni odbierali sobie nawzajem mieszkania, lasy, wodę, pola, ziemię i powietrze. Chmary rozpustników i pasorzytów wespół ze złodziejami, oszustami, gwałcicielami, pchały jeden tłum pijanych, trzęsących się idiotów na drugi. I ziemia, ta tak rozległa i piękna ziemia, za ciasną była dla ludzi i była ciemną i duszną, niby więzienie.

Ale i wtedy wśród tych ujarzmionych bydłał, wśród rabów najtchórzliwszych podnosili głowę ludzie dumni duszą, bohaterzy o sercach płomien-nych!

Jak przychodzili na świat w tej podłej porze — nie mogą tego zrozumieć! Ludzie ci stawali na placach, na rozstajach dróg i wołali do tłumów: „Łączcie się!“ „Niech żyje wolność!“ „Umrzyjcie dla niej!“ A wtedy ani jeden dom nie był pewnem schronieniem, wtedy zdrada, mord skrytobójczy, gwałt i bezprawie hojny zbierał plon i nagradzane były szczodrze, a jednak ci ludzie umierali za swe hasła...

I zlewali swą krwią sprawiedliwą bruki ulic miast wielkich. Waryowali w ciemnicach więzień. Konali na szubienicach i pod ogniem strzałów karabinowych, przywiązani do słupa... Wyrzekali się

dobrowolnie wszelkich radości życia, prócz jednej radości — śmierci za wolne życie przyszłej ludzkości...

Przyjaciele moi! Czyż nie widzicie tego mostu z trupów ludzkich, który łączy nasze promienne dziś z okrutnem straszmem wczoraj?

Czyż nie czujecie tej krwawej rzeki, która zaniosła całą ludzkość do wielkiego oceanu szczęścia powszechnego?

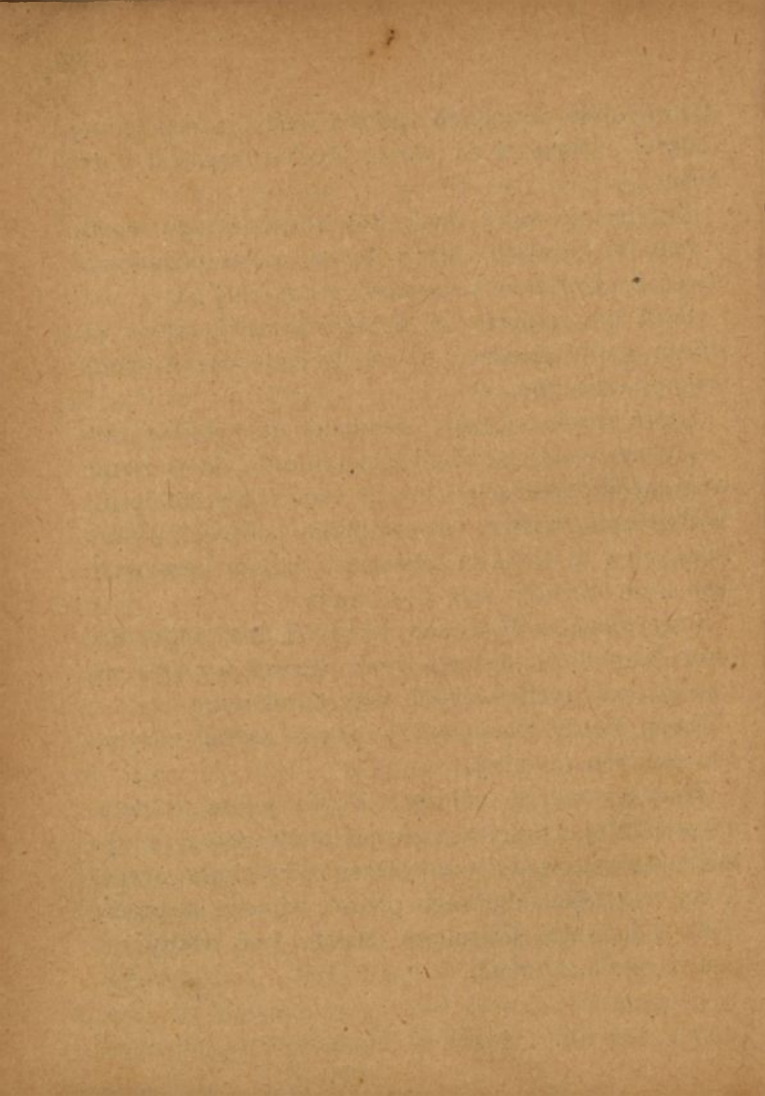
Cześć wam wieczna, nieznani nam bliżej milczący męczennicy. Kiedyście umierali, to w jasnowidzących źrenicach waszych świecił się uśmiech... Widzieliście wtedy nas wolnych, silnych, tryumfujących i w wielkim momencie zgonu przesyłaliście nam duchem swe powitanie.

Przyjaciele moi! Niech każdy z nas cicho, bez słów, sam na sam z własnem sercem wychyli puhar ku czci tych wielkich męczenników.

Niech każdy z nas ujrzy przed swemi oczyma ich uśmiech łagodny.

Wszyscy wypili milcząc. Tylko jedna kobieta, niepospolitej piękności, siedząca obok mówcy, przytuliła się głową do jego piersi i zapłakała naraz. A na zapytanie, dlaczego płacze, odparła szeptem:

— A jednak... jakżebym chciała być wtedy razem z nimi... z nimi...



LEONIDAS ANDREJEW.

„Wielkolud“.

(Poemat prozą).

— Oto przyszedł wielkolud, taki wielki, ogromny wielkolud! Taki wielki, ogromny... Przyszedł sobie, ot tak, aby przyjść.

Ach, jakiż on zabawny! Ręce ma grube, kosmate, jak drzewo. Przyszedł sobie i runął! Słyszysz? Przyszedł i runął. Taki głupi wielkolud, taki zabawny — zaczepił nogą o próg i upadł! Rozdziawił gębę szeroko — i leży sobie, leży sobie pocieszny, jak kominiarczyk. A tyś po co tu przyszedł, brzydaku? Wynoś się, wynoś stąd, wielkoludzie! Moje dziecię takie miłe, takie ładne, takie kochane; tak cichutko przytuliło się do swej mamy, do jej serca, do jej serca — takie miłe, takie kochane...

Ma oczy śliczniutkie, miluteńkie — i jasne, za co je tak wszyscy kochają. I nosek ma taki cudny i usteczka, i wcale nie hałasuje... Dawniej — to hałasował mój chłopczyk — biegał — krzyczał — hałasował na koniku. A ty pewno nie wiesz o tem, wielko-

ludzie, że moje Dzidzi ma już konika, rzeźkiego rumaka z długim ogonem; że Dzidzi wsiada na niego i wyjeżdża hen — daleko, daleko — do lasu jeździ, za rzeczkę... A w tej rzeczce pełno rybek. A czy ty wiesz, wielkoludzie, jakie są rybki? Nie, ty nie wiesz tego jeszcze, grubasie, a Dzidzi moje już wie: są tam takie małe, malusieńkie rybeczki. Słoneczko świeci, woda łśni się, a rybki bawią się z sobą, takie małe, żwawe, zabawne... Tak, tak, mój wielkoludzie. Dzidzi wie, a ty nie wiesz...

— Ach, jakież śmieszny ten wielkolud! Przyszedł sobie i upadł! To dopiero! Szedł po schodach — raz — raz — zaczepił butem o próg — i runął wzdłuż. Taki głupi wielkolud! Dobrze ci tak, nie chodź do nas wielkoludzie, kiedy nikt cię nie woła! To tylko dawniej hałasował mój chłopczyk i biegał — a teraz — teraz jest już spokojny i taki miły, i mamusia tak bardzo, bardzo go kocha. Kocha go więcej, niż wszystkich, więcej, niż siebie, więcej nawet, niż życie! Bo on jest dla niej słoneczkiem, on jej szczęściem, radością... Teraz jeszcze jest mały, bardzo mały, więc i życie jego niewielkie, ale wkrótce urośnie duży, większy może niż ty, wielkoludzie — potężny, a wszyscy kochać go będą, patrzeć w niego, jak w obraz — i cieszyć się...

Będą w życiu jego nieraz wielkie cierpienia i bóle — każdy człowiek musi wiele przecier-

pieć — ale będą także niezmierne i jaśniejsze od słońca radości... A gdy wejdzie on w świat, wejdzie piękny i mądry — nad głową mu niebo roztoczy swój błękit, z drzew mu ptacy zanucą swe pieśni, w dole woda zaszemrze łagodnie. A on spojrzy i rzecze: „Jakże dobrym jest świat — jakże pięknym jest świat!“

— Nie bój się, dziecię me, nie bój... Nic ci się złego nie stanie! Ja cię trzymam tak mocno i czule — dziecię ty moje! Strach ci, że tu tak ciemno? Spójrzyj, widzisz światło tam w oknach? To latarnia uliczna stoi i świeci — jakaż zabawna! I nam także trochę światła rzuciła, ta miła latarnia uliczna. Pomyślała sobie napewno: „co tam, niech i tu także trochę zaświecę, tam przecież tak ciemno — tak ciemno...“ Taka wielka, dziwaczna latarnia. I jutro też świecić będzie — jutro też, Boże mój, jutro!...

— Ależ tak, tak... Wielkolud prawdziwy, prawdziwy, naturalnie... Taki wielki, ogromny wielkolud. Wyższy od latarni, wyższy od dzwonicy i taki śmieszny; przyszedł sobie i upadł!

Ach, ty głupi wielkoludzie, jakże mogłeś schodków nie dojrzeć. — „Patrzałem sobie do góry i nie widziałem nic w dole!“ — basowo odparł wielkolud, rozumiesz, takim głosem basowym. — Patrzałem sobie do góry i nie widziałem nic w dole! — basowo odparł wielkolud, rozumiesz, takim głosem

grubym, basowym. — Patrzałem sobie do góry! A ty na dół patrz lepiej, niemądry wielkoludzie, — to zawsze ujrzysz, co trzeba.

— A moje Dwidzi, chłopaczek miły, miłuśki i taki mądry, urośnie jeszcze większy od ciebie. I będzie sobie chodził wprost przez miasta, wprost przez lasy i góry. A taki będzie silny, odważny, że nie złąknie się nigdy niczego — niczego... Poszedł tylko do rzeki, spojrzął — i ot już na drugim brzegu... Wszyscy patrzą, rozdziawili gęby — dziwią się — a on przeszedł sobie, jakby nic. A życie jego będzie takie wielkie, jasne i piękne, a słońce świecić mu będzie — takie miłe, ojcyste słoneczko... Wychyli się rankiem o świcie i zaświeci mu złote... Boże mój!

— Tak, tak... Przyszedł sobie wielkolud — i runął. Taki śmieszny, taki zabawny...

...Tak wśród nocy głębokiej mówiła matka, pochylona nad konającym dziecięciem. Nosiła je po ciemnym pokoju i tuliła do siebie, blask latarni wpadał do okna z ulicy — a w sąsiednim pokoju płacząc słuchał mowy jej ojciec dziecięcia...

LEONIDAS ANDREJEW.

Ben Towit.

Tego strasznego dnia, kiedy spełnioną została największa niesprawiedliwość świata, i na Golgocie, między łotry, Jezus Chrystus został ukrzyżowany — tego dnia właśnie od najwcześniejszego świtu nieznośnie rozboleł ząb Ben Towita, kupca jerozolimskiego. Zaczęło to się jeszcze dzień przed tem, pod wieczór: ból zaczął łamać prawą szczękę, zaś jeden ząb, ostatni przed zębem mądrości, jak gdyby trochę wzniósł się do góry, i kiedy do niego dotykał się język, sprawiał pewne uczucie bólu. Po jedzeniu ból zazwyczaj prawie zupełnie ustawał i Ben Towit zupełnie zapominał o nim i uspokajał się, tem bardziej, że tego dnia bardzo korzystnie zamienił swego starego osła na młodego i mocnego, wobec czego był bardzo wesół i nie przywiązywał znaczenia do przeczuć złowrogich.

Spał Ben Towit dobrze, mocno, ale przed samym świtem poczęło go coś niepokoić, jak gdyby ktoś począł go wołać w jakiejś ważnej sprawie,

a kiedy Ben Towit obudził się zagniewany — bolały go zęby, bolały strasznie i nienawistnie, całą pełnią ostrego, świdrującego bólu... I już nie można było zrozumieć, co boli: czy boli ząb wczorajszy, czy też przyłączyły się ku niemu i inne; całe usta i głowa pełne były okrutnego uczucia bólu, jak gdyby zmuszono Ben Towita do żucia tysiąca rozpalonych do czerwoności ostrych gwoździ. Nabrał do ust wody z glinianego dzbanuszka i ból na chwilę ustał, zęby wstrząsnęły się i zda się, zakołysały, jak fale, i uczucie to było już prawie przyjemne w porównaniu do poprzedniego... Ben Towit znowu położył się, wspomniawszy o swym nowym osiołku i pomyślał, jak też to byłby on szczęśliwy, gdyby nie te zęby, i chciał zasnąć. Ale woda była ciepła — i po pięciu minutach ból znowu powrócił — jeszcze okrutniejszy, niż przedtem, a Ben Towit aż usiadł na pościeli, chwiejąc się, jak wahadło. Cała twarz pokryła mu się zmarszczkami i wysunęła się ku długiemu nosowi, a na nosie, bladym z bólu i cierpienia, zakrzepła kropla potu chłodnego. Tak, chwiejąc się i jęcząc boleśnie, powitał pierwsze promienie tego słońca, któremu sądzonem było widzieć Golgotę z trzema krzyżami, i zagasnąć w przerażeniu i grozie.

Ben Towit był to dobry i łagodny człowiek, nie znoszący niesprawiedliwości, ale kiedy obudziła się żona, to ledwie rozchylając usta, nagadał jej

wiele rzeczy nieprzyjemnych, skarżąc się, że pozostawiła go samemu sobie, jak szakala, aby wył i wił się w męczarni... Żona cierpliwie zniosła te niezasłużone uwagi, gdyż wiedziała, że mówi on je nie ze złego serca, poczem przyniosła mu wiele skutecznych lekarstw: mysiego oczyszczonego pomiotu, który należy przykładać do szczęki, ostrej nalewki skorpionowej i prawdziwy kawałek kamienia z rozbitej Mojżeszowej tablicy dziesięciorga przykazań. Mysi pomiót pomógł nieco, owszem zrobiło mu się lepiej, ale nie na długo, również lepiej było od nalewki na skorpionie i kamyczka, cóż kiedy zawsze po krótkotrwałej przerwie ból wracał z nową siłą. Podczas krótkiej chwili odpoczynku Ben Towit pocieszał się myślą o osiołku; marzył o nim, a kiedy robiło mu się gorzej, jęczał, złościł się na żonę, grożąc, że pogruchocze sobie głowę o mur, jeżeli ból nie ustanie. I wciąż chodził z kąta w kąt po płaskim dachu swego domu, żenując się blisko podchodzić do krawędzi, ponieważ całą głowę miał obwiązaną chustą, jak jaka kobieta... Kilkakrotnie przybiegały doń dzieci, opowiadając mu coś prędkimi, zdyszanyymi głosami o Jezusie z Nazaretu. Ben Towit zatrzymywał się wtedy, przez chwilę słuchał ich, zmarszczywszy twarz, ale potem tupał gniewnie nogą i przepędzał ich: był on — jak się rzekło — człowiekiem dobrym i łagodnym i kochał dzieci, ale

teraz złościł się, że zawracają mu głowę jakimiś głupstwami...

Było mu również nieprzyjemnem i to, że na ulicy i na sąsiednich dachach zebrało się mnóstwo ludzi, którzy nic nie robią, tylko gapią się na Ben Towita, obwiązanego chustkami, jak jaka kobieta. I już, już zamierzał zejść na dół, gdy naraż żona rzekła:

— Spójrz, oto prowadzą zbójców. Może to cię rozerwie...

— Daj mi spokój, moja droga. Czyż nie widzisz, jak cierpię? — ze złością odparł Ben Towit. Ale w słowach żony brzmiała smętna obietnica, że zęby mogą przestać boleć, to też, chcąc nie chcąc, Ben Towit zbliżył się do ogrodzenia. Przechyliwszy głowę na bok, przymknął jedno oko i podpie-
rając szczękę dłonią, zrobił płaczącą twarz i spoj-
rzał na dół:

Po wąskiej dróżce, wijącej się pod górę, bezładnie sunął olbrzymi tłum, w kłębach pyłu, z niemilknącym krzykiem na ustach. W środku tłumy, uginając się pod ciężarem krzyżów, szli naprzód skazańcy, a nad nimi, niby czarne węże, świstały baty żołdaków rzymskich. Jeden ze skazańców — ten, który miał długie, jasne włosy i był w rozdartym i krwią zbryzganym chitonie, — potknął się o ciśnięty mu pod nogi głaz i upadł. Wtedy krzyki wzrosły i tłum, podobny do wielobarwnej

fali morskiej, zwarł się nad skazańcem. Ben Towit drgnął niespodzianie z bólu — do zęba jak gdyby mu kto włożył naraz rozpaloną do czerwoności igłę i wyciągnął ją — i jęknął: u—u—u, poczem odszedł od ogrodzenia zły i obojętny na wszystko.

— Jak oni drą się! — rzekł zazdrośnie, pokazując gestem żonie usta szeroko otwarte z mocnymi, niebolącymi zębami, i dając do zrozumienia, jakby to on krzyczał, gdyby był zdrow. I skutkiem tego demonstrowania krzyku tłumowi, ból zwiększył się, tak że Ben Towit począł trząść i rzucać głową, obwiązaną białą chustą i ryczeć, jak wół: mu-u-u...

— Powiadają, że on uzdrawiał ślepych, — rzekła żona, nie odchodząc od ogrodzenia, poczem rzuciła kamyczek w to miejsce, gdzie powoli posuwał się smagany biczami Jezus z Nazaretu.

— Ależ, ma się rozumieć... Niechby no on uzdrowił mój ból zębów — ironicznie odparł Ben Towit i, rozdrażniony tem, dodał z goryczą — jak oni krzyczą! Zupełnie, jak bydło! Kijami by ich rozpędzić wszystkich! Sprowadź mnie na dół, Saro!

Żona, jak się pokazało, miała słuszność: widowisko nieco rozerwało Ben Towita, albo też być może pomógł mu wkońcu pomiót mysy, dość że wreszcie zasnął. A kiedy zbudził się, ból prawie zupełnie ustał, tylko na prawej szczęce wytworzyło się nieznaczne obrzmienie, tak nieznaczne, że je ledwie można było zauważyć. Sara mówiła,

że go wcale nie widać, ale Ben Towit uśmiechał się niedowierzająco: wiedział on, jak dobrą ma żonę i jak lubi ona powiedzieć coś przyjemnego, choćby kosztem prawdy. Przyszedł sąsiad, garbarz Samuel, przeto Ben Towit poprowadził go obejrzeć nowego osiołka i z dumą wysłuchał jego gorących pochwał dla osiołka i siebie.

Potem, na prośbę ciekawej Sary, we troje udali się na Golgotę, aby popatrzeć na ukrzyżowanych. Po drodze Ben Towit opowiedział Samuelowi od samego początku, jak wczoraj poczuł on łamanie w prawej szczęce i jak potem w nocy obudził się skutkiem strasznego bólu. Mówiąc to, zrobił bardzo nieszczęśliwy, cierpiący wyraz twarzy, zamknął oczy, potrzasał głową i jęczał, a siwobrody Samuel ze współczuciem kiwał głową i mówił:

— Aj — aj, aj! Jakiż to ból! Jaki ból...

Ben Towitowi spodobało się to współczucie, to też powtórzył swoją opowieść, a następnie znów wrócił do tego dawnego, dalekiego czasu, kiedy począł mu się psuć zaledwie pierwszy ząb — ot, ten u dołu, po lewej stronie. Tak, wśród ożywionej rozmowy, przyszedł na Golgotę. Słońce, skazane na przyświecanie światu tego strasznego dnia, zapadło już za wzgórze dalekie, tylko na zachodzie pałała niby krwawa plama, wązka smuga purpury. Na jej tle niewyraźnie zarysowywały się

trzy krzyże, a u podnóża krzyża po środku dostrzedz można było białe klęczące postacie...

Tłum rozszedł się już dawno; zrobiło się chłodno, przeto rzuciwszy okiem przelotnie na ukrzyżowanych, Ben Towit wziął Samuela pod rękę i lekko zawrócił go ku domowi. Poczuł się szczególnie wymownym, to też zachciało mu się jeszcze raz opowiedzieć o bólu zęba. Szli więc tak oto, i Ben Towit przy pełnych współczucia potakiwaniach i okrzykach Samuelowych, robił bolesną twarz, rzucał głową i jęczał sztucznie — a z głębokich wąwozów, z dalekich spiekłych równin podnosiła się czarna noc. Rzekłbyś, pragnęła ukryć przed wzrokiem nieba niesłychaną zbrodnię tej ziemi...

WŁODZIMIERZ BERENSZTAM*).

Ze wspomnień adwokata.

Sąd się śmieje...

Sąd wojenny. Sprawa ma się ku końcowi... Wszyscy czterej oskarżeni milczą. Obstawieni są dokoła strażą. Przyprawiono ich z więzienia. Rząd oskarża ich o należenie do partii socjalistów-rewolucjonistów-maksymalistów... We wsi, gdzie „uwili sobie gniazdeczko“ — jak się wyraża prokurator — znaleziono skład bomb i dynamitu. Jednym z oskarżonych jest kobieta — młodziutka nauczycielka wiejska. Córka prezesa zarządu ziemskiego. Prześliczna dziecięca twarzyczka. Łagodne, błękitne oczy. Dwaj drudzy — studenci — „przyjechali do niej w gościnę“. Ubrani są w czarne koszule z białymi guzikami. Czwarty — miejscowy chłop. Sprawa tak się przedstawia. U jednego

*) Autor tych fragmentów, Włodzimierz Berensztam, był obrońcą w sprawach politycznych w latach 1901—1908 w Petersburgu. Powyższe urywki wyjęte zostały z książki „W ogniu obrony“.

z obywateli w nocy zamaskowani ludzie dokonali ekspropyacji. Po głosie poznał on jednego ze sprawców — tego oto chłopca. Reszta tylko utrzymywała z chłopcem znajomość... Na dziedzińcu szkoły dokonano rewizji. Drwalnia zawsze stała otwarta. Pod śmieciami, gratami i jakimiś sprzętami wykryto ten oto koszyk, który leży na stole dokumentów... Obok koszyka rozłożone części moździernej puszkii... W sali pustka. Jeden dyżurny oficer siedzi w miejscach, przeznaczonych dla publiczności... Po za tem straż, my dwaj obrońcy i nikt więcej... W sali powoli zapada mrok... Prokurator oskarża niemożliwie długo, w męczący sposób opowiada o tem, jak okrutni są ci oskarżeni... Nic świętego dla nich nie było! Domaga się kary śmierci. W sali staje się coraz nieznośniej. Wstaje towarzysz — miejscowy adwokat — stary obrońca i wygłasza „przekonywującą“ mowę:

— Kogóż to oskarża prokurator?! Najspokojniejszych, najbierniejszych ludzi! Gdzie są dowody na to, że byli oni członkami jakiegokolwiek partii rewolucyjnej? — Skład bomb? Ale wszakże znaleziono je na podwórku szkolnem. Drzwi drwalni zawsze stały otworem. Każdy mógł przynieść... I dowodzi w ten sposób w dalszym ciągu, argumentuje... Już, już, zdaje się, że zostaną uniewinnieni...

— Do was należy ostatnie słowo — zwrócił się prezes do pierwszego z oskarżonych.

Podniósł się Gruzin, niby w febrze. Był to oczywiście zupełnie niepomamowany osobnik. Od razu zapomniał o umówieniu się z obrońcą, że będzie milczał.

— Obrońca nasz wyraził się, jakobyśmy nie należeli do żadnej partji — zawołał, błysnąwszy białkami. — To nieprawda! Myśmy nie bydłęta! Nawet wy, sukinsyny, co wieczór tworzycie partje karciarzy! Myśmy socjaliści-rewolucyoniści! Nie nawidzimy waszego ustroju, opartego na bezprawiu i gwałcie i z zapalem powitamy naszą...

Prezes nie dał mu dokończyć. Dyżurny oficer wraz z żołdatami wywlekli Gruzina z sali. Odbijał się, jak mógł, kułakami. Ogłoszono przerwę w rozprawie.

Sąd długo nie wychodził. Wreszcie ukazał się dyżurny oficer. W rękach trzymał zapaloną świecę. Wraz z nim szli dwaj żołnierze. Coś jakby uroczysta procesya w kościele katolickim. Oficer obszedł wszystkie parapety, próbując ich ostrożnie, zajrzał także za firanki. Żołnierze stanęli na czworakach i poleźli pod długi stół sędziowski. Obejrzelik także fotele i krzeselka. Oficer, podnosząc zsuwający się ze stołu obrus, przyświecał im.

— Nic niema! — rzekł tryumfująco żołnierz.

— Popatrz lepiej! — rozkazał oficer — zobacz, czy tam czego nie podłożyli?!

Wreszcie oficerowie i żołnierze oddalili się...

— Sąd idzie! — wrzasnął po chwili dyżurujący oficer.

Wszedł generał w towarzystwie kilku pułkowników...

— Do was należy ostatnie słowo!

I znów powtórzyła się ta sama historia.

Drugi oskarżony, student, jak się pokazało, zaraził się od Gruzina wzburzeniem. Począł on miotać bezładnie na sędziowskie głowy przekleństwa, nawet wtedy, gdy go przemocą wyciągano z sali. I zdawało się, że przekleństwo rzeczywiście wisi w powietrzu...

Ponad wszelkie oczekiwanie odezwał się i chłop także. Po prostu, po chłopsku, doborem jak najwyższymi obelgami, zapominając oczywiście, że słucha go także nauczycielka.

Wyciągnięto go. Znowu przerwa.

Teraz na ławce oskarżonych siedzi już tylko — ona. W rękach miała czarną sakiewkę — niewielką, skórzaną torebkę na drucianym łańcuszku...

Dyżurny oficer powiadomił już, że „sąd idzie!“ I sędziowie ukazali się ze swej komnaty. Naraz generał rzucił okiem na oskarżoną i w przerażeniu rzucił się w tył. Sędziowie, nie zwlekając, również pomknęli za nim.

Dyżurny oficer pobiegł za nimi truchtem, ale wnet wyszedł i zbliżył się do nauczycielki.

— Będzie pani łaskawa pozwolić mi swoją torebkę...

— Po co?

— Tak... kazano.

— Ani myślę!

— To przewleka sprawę!

— Nic mnie to nie obchodzi!

— W takim razie proszę przynajmniej pokazać, abym...

— Jeszcze czego! Ani myślę!

— Odmowa pani wysoce rozdrażni sąd, a to bardzo niepomyślnie odbije się na pani losie... Daję pani dobrą radę... Jako bardzo młodej jeszcze osobie...

— Powiadam, że ani myślę!

Oficer wyszedł. Wrócił zmieszany i wezwał mego kolegę po fachu. Za chwilę wyszli razem. Adwokat poprosił ją oddać mu torebkę. — Inaczej — rzekł — sąd nie wyjdzie na rozprawę. A przecież pani sama pragnie jaknajrychlejszego ukończenia procesu...

Nauczycielka chętnie zgodziła się i oddała koledze torebkę. Kiedy sędziowie wreszcie usiedli znów na swych miejscach, kolega mój, pragnąc oczywiście ostatecznie uspokoić sąd sprawiedliwy, wysunął ku nim torebkę i demonstracyjnie otwo-

rzył... widać w niej było jedynie chustkę do nosa... Naraz nauczycielka prędko zerwała się z miejsca, i przechyliwszy się przez baryerkę, wpiła się palcami w torebkę.

— Nie moja wina, — zawołała rozpaczliwym głosem, — że chustka brudna, nie mogłam dostać w więzieniu czystej chusteczki...

Sędziowie dobrodusznie uśmiechnęli się. A taki uśmiech w sądzie wojennym — wiele znaczy! Ten jej krzyk rozpaczy wszystkich zbawił. Teraz już niepodobna ich było powiesić... Wiedzieliśmy to z doświadczenia, że przewidywanego wyroku śmierci nie otrzymają.

I chociaż nauczycielka, za przykładem swych poprzedników, poczęła wołać o swej nienawiści do rządu i sędziów — wyrok zapadł uniewinniający...

Guz.

— ...Szedłem ulicą — zeznawał pomocnik komisarza policyi — aż tu nagle z za sztachet ogródka wybiegł ten człowiek, przynajmniej tak mi się zdaje... Rozległ się ogłuszający huk. Mignął mi przed oczami zupełnie wyraźnie. Mnie omal, że nie obaliło, za to mocno opaliło. Ziemia zatrzęsła się. Bomba wyrwała w ziemi głęboką jamę... Usiłowałem usunąć się. Kiedy dym rozwiął się, to ujrzałem, że ten człowiek biegnie ulicą.

Za chwilę przyszedłem do siebie i rzuciłem się za nim w pogoń. Z tyłu nas biegł jeszcze ktoś. Pędziłem co tchu. Już, już dopędzałem przestępcę. Ten zaś biegł w śmiertelnem przerażeniu, jak się zdaje, nic nie widząc przed sobą i nic nie rozumiejąc. Zygzakował to na prawo, to na lewo... Zagięcie ulicy stanowił dom z przechodniem podwórkiem. Człowiek ten podbiegł ku drewnianym wrotom. Furtka maleńka, niziutka — była otwartą. Już, już miałem go w rękach. W jednej ręce trzymałem obnażoną szablę. Tymczasem zbrodzień, biegnąc co tchu, uderzył się głową o wrota i, jak się zdaje, oszołomiony, zatrzymał się. W tej samej chwili, nie wiem, jak się to stało, dość, że zatrzymałem się i ja, skutkiem czego mogłem być należycie przyjrzeć się jego ubraniu. Otóż stanowczo twierdzę, że miał on na sobie także same czarne palto! Aż tu naraz przestępca obrócił się i, zgarbiwszy się, znów począł uciekać... Rzuciłem się za nim, a ponieważ jestem bardzo wysokiego wzrostu i ostrożnie przesuwalem się przez furtkę, to na kilka sekund zupełnie straciłem go z oczu... Przestępca wybiegł znów na ulicę. Kiedy zaś wybiegłem za następną furtkę — nie było go już tu wcale; szedł sobie jak gdyby nigdy nic po drugiej stronie ulicy. Dopadłem go wtedy i zaaresztowałem. Sprawca zamachu ledwie dyszał ze zmęczenia. Poprowadziliśmy go wraz ze stróżem do po-

licy. Komisarz od razu go poznał. Człowiek ten dwa miesiące temu przez tydzień był trzymany w areszcie podczas rozruchów ulicznych. Wypuszczono go wtedy. Tak, to on siedzi na ławie oskarżonych!...

Pokazując oskarżonego, pomocnik komisarza nie-
możliwie unosił się i pod koniec zeznań oddychał ciężko.

Zwróciłem tedy uwagę sądu wojennego na to, że i pomocnik komisarza ciężko oddycha, chociaż stoi na miejscu i nie jest przestępcą.

— Uniosłem się za bardzo — zauważył tenże.

— Nie wątpię w to — odparłem, a następnie zadałem mu kilka pytań w tym celu, iżby sędziowie głęboko zapamiętali to sobie, że uciekający uderzył się czołem o bramę.

Sprawa rozpatrywaną była według przepisów czasu wojennego i dlatego: w kilka dni po zamachu. Zdawało się, że niezbite zeznanie policyanta było dla sędziów wystarczającym. I należało się z tem liczyć!

— W tym momencie, o którym świadek wspomina, że bezustannie śledził za człowiekiem, który rzucił bombę, czy dobrze świadek pamięta każdy jego ruch?

— Tak...

— Twierdząc, że uderzył się on czołem o wrota, czy się świadek nie myli?

— Naturalnie, że nie, — widziałem go doskonale...
Pomocnik komisarza został zwolniony.

Wyszedł następnie sam komisarz policyi i opowiedział o przyprowadzeniu oskarżonego i o tem, że ten „hardo się stawiał...”

— Kiedy go przyprowadzono do cyrkułu, przed rozpoczęciem badania, czy pan należycie przyjrzał się aresztowanemu?

— Naturalnie! Co do mnie, to zawsze przyglądam się należycie...

— Czy nie zauważył pan przypadkiem na jego twarzy czegoś szczególnego?

— Nie, niczego szczególnego nie zauważyłem. Chyba pewne lekceważenie otoczenia...

— Czy nie miał oskarżony wtedy czerwonego czoła, albo też guza na czole?

— Nikt go tam nie bił!... W naszym cyrkule nie biją...

— Ale guz był na czole?

— Żadnego guza nie było!

— Pan to stanowczo twierdzi?

— W sposób jaknajbardziej stanowczy!

— A czerwoność twarzy nie biła w oczy?

— Niemniej kategorycznie twierdzą, że twarz miał zupełnie normalną... U nas nie biją...

Trzeci świadek, stróż, zeznał, że biegł z tyłu, skutkiem czego nie może poznać oskarżonego.

Wtedy napadłem na obciążające dowody prokuratora.

— To nie jest on! — oświadczyłem w *reasmé* z głębokim przekonaniem. — Pomocnik komisarza kategorycznie twierdzi, że uciekający uderzył się czołem o wrota! Gdzież widzimy chociażby mały guz, chociażby zaczerwienienie twarzy? Skoro uderzył się w rozpędzie, guz powinien być na czole, ślad jego nie mógłby zginąć i do dziś dnia! To nie on! Guz, prosty guz, jakiegośmy sobie w dzieciństwie nabijali na czole, byłby w tym razie najlepszym dowodem winy. Sprawca, oczywiście, musiał zbiedz, lub ukryć się w jakimś ciemnym przejściu...

Następnie przeszedłem do psychologii uciekającego i rozwinąłem myśl, że uciekającemu trudno iść spokojnym krokiem, kiedy za nim goni sama śmierć, kiedy w ucieczce szuka on ratunku...

— A że oskarżony, będąc pojmany, oddychał ciężko? To i cóż? Przecież on mógł iść prędko, mógł zaniepokoić się hukami! Policja jeszcze raz mogła go niewinnie aresztować. Mógł on mieć przecież wadę serca. Przecież my tego nie wiemy! A nie wiedząc o tem, nie możemy go sądzić. Prosił on o powołanie świadków na dowód tego, gdzie był i skąd szedł. Ale sąd wojenny odmówił posłania im wezwania, gdyż — według opinii policji — świadkowie mieszkają poza obrębem miasta...

Czyż zatem sąd wojenny nie przewiduje takiej możliwości?...

Oskarżonego uniewinniono, wieczorem zaś przyszedł mi podziękować.

— Słuchaj pan, — rzekłem, — powiedz mi pan prawdę: panes rzucił tę bombę, czy nie pan?

— Ja... Ten pomocnik komisarza wraz z policyantami, gdy byłem po raz pierwszy aresztowany, skatował mnie strasznie w cyrkule. Kiedy uzyskałem wolność, rzuciłem na niego bombę...

— Co pan mówi?! — Zawołałem. — Przecież pan się uderzył czołem o belkę?!

— I jeszcze jak! Myślałem, że runę na ziemię, aż mi się iskry posypały z oczu. To było gorsze od huku bomby!

— Ale przecież guz, gdzie pański guz?!

— A jakże, jest i guz. Tylko, że uderzyłem się nie czołem, a środkiem czaszki. Guz jest — ale pod włosami. Spróbuj pan, wielki, jak kartofel...

Spróbowałem i aż mi się słabo zrobiło.

— Całe szczęście pańskie — rzekłem — że sądzono pana sądem wojennym. Temu zawsze pilno kogoś powiesić. W sądzie cywilnym, nie skończyłoby się tak, pewnoby ci głowę zaczęto badać...

— A zatem i sąd wojenny na coś się przydał, — zaśmiał się sprawca zamachu...

„Ostatnie słowo“.

Zabierałem się już do wyjścia z celi, gdy zatrzymał mnie.

— Zaczekaj pan... — rzekł. — Chcę go usilnie prosić o wyrządzenie mi wielkiej przysługi... Przed sześciu laty napisałem był list do znajomej. Listem tym sprawiłem jej wiele przykrości. Potem długo myślałem o tym liście i przekonałem się, że nie miałem racji... Zrób pan wszystko, aby ją odnaleźć. Wyszła za męż. Znałem tylko jej pannieńskie nazwisko... Od tamtej chwili straciłem ją z oczu... Powiedz jej pan, że żałuję tego listu, i że nie przestała mi być bliską...

Więzień skazany był na karę śmierci za poważny zamach terrorystyczny. I chociażśmy my, adwokaci, podali skargę kasacyjną, zawczasu byliśmy przygotowani, że nie odniesie ona żadnego skutku. O ułaskawieniu mowy być nawet nie mogło. Za kilka dni miał być powieszony. Wiedział o tem dokładnie. I uporczywie obstawał przy tem, że w żadnym razie nie przyjmie ułaskawienia...

Zrobiłem wszystko, co mogłem. Odnalazłem ją.

Mieszkała w bogatych, wielkopańskich apartamentach. Wyszła do mnie spokojna, okazała, ubrana w strój jasny; na twarzy uśmiech bez troski... I właśnie wtedy, gdy zapraszała się, zupełnie niespodzianie, gdzieś w głębi jej szlachetnych oczu,

wyczytałem utajoną tęsknotę za życiem... Począłem mówić, że przyszedłem z polecenia... I nie udało mi się dokończyć. Pani ta wybuchła naraz płaczem. Osunąwszy się z krzesła na podłogę, poczęła trząść się w kurczowo konwulsyjnym szlochaniu... Nie wiedziałem, co robić. W cudzym mieszkaniu, obcy... Czekałem, co będzie. Wreszcie przyszła do siebie, przemówiła:

— Czemuż, o, czemuż nie powiedział mi tego wcześniej?! Dlaczego?! Przecież on zawsze był dla mnie najlepszym z ludzi... Nie było dla mnie wznioślejszego od niego, ani czystsze... Wiedziałaś, że cierpi i ginie za innych, chociażem go nie rozumiała... Zawsze milczał... A kiedy wychodziłam za męża, to powiedziałam mężowi, że jeszcze go kocham, gdyż jest on tak wzniosłym dla mnie! Pan go zobaczy? Pan pójdzie do niego? Powiedz mu pan, że jestem duszą jego, cała wraz z nim... Jego ręce są w moich dłoniach, i ja je całuję... Te czyste ręce...

Kiedy przyszedłem do niego, ten z niepokojem rzucił się ku mnie:

— No i cóż?! Widziałeś ją pan? Odszukałeś?

— Tak...

Wahałem się powiedzieć mu całą prawdę. Czułem, że to niemożliwe...

— Była bardzo szczęśliwa... — rzekłem. — Jest ona również bardzo, bardzo panu bliską...

— W takim razie jeszcze jedna ostatnia przysługa... Pójdź pan do niej i powiedz, że jeżeli go dzien jestem jej pocałunku, to ślę jej ostatni pocałunek rozstania...

Nie mogłem się zdecydować pójść do niej... I dotychczas, gdy wspomnę o tem, pali mnie, jak ogień, pytanie:

— Czy byłem go dzien?

MAKSYM GORKIJ.

Pieśń o Zwiastunie Burzy^{*)}.

„Ponad siwą równią morza wicher pędzi chmur gromady. Niby czarna błyskawica, między morzem a chmurami, leci dumny Zwiastun Burzy.

„To się wali dotknie skrzydłem, to jak strzała w niebo mknie. Krzyczy ptak — i chmury słyszą radość w śmiałym ptaka krzyku.

„W krzyku tym — pragnienie burzy! Gniewu moc i żądry żar, i zwycięstwa pieśń podniosłą słyszą chmury w tem wołaniu“.

Kwili czajek ród przed burzą — kwilą, krążąc nad otchłanią, i gotowe są w jej głębi ukryć trwogę swą przed burzą.

Ptaki — nurki także kwilą — dla nich, nurków, niedostępne są rozkosze bojowi życia: straszy ich piorunów grom.

Głupi pingwin trwożnie kryje tłuste ciało w zrębach skał... Tylko dumny Zwiastun Burzy wciąż szybuje lotnie, śmiało — nad spienioną falą wód!

^{*)} „Albatros“, ptak, szybujący zazwyczaj nad morzem przed burzą...

Coraz ciemniej, coraz niżej zmrok zapada nad otchłanią, i śpiewają, tańczą fale na spotkanie nawałnicy!

Huczy grzmot. Jęczą fale, wiodąc gniewny spór z wichurą. Aż porywa wiatr bałwany w mocny uścisk i z rozmachu ciska je na skał urwiska, rozbijając w dzikiej złości cenny szafir w drobny pył.

Niby czarna błyskawica, przemknie z krzykiem Zwiastun Burzy, jako strzała przetnie chmury, z krzykiem muśnie pianę fal...

Oto buja niby demon — dumny, czarny demon burzy — śmieje się i szlocha razem... On drwi sobie z grozy chmur, on z radości łka!...

Czujny demon w sile grzmotu dawno już zmęczenie poczuł, — i jest pewien, że nie skryją chmury słońca — nie, nie skryją!...

Wicher wyje... Huczy grzmot...

Ponad bezdnią morza płoną modrym blaskiem chmur gromady. Morze chwyta skry błyskawic i w głębinach swoich gasi.

A odblaski tych błyskawic, niknąc, kłębią się po falach, rzekłbyś — chmary żmij ognistych!

Burza! Wkrótce zagrzi Burza!

To odważny Zwiastun Burzy buja dumnie wśród błyskawic nad ryczącem gniewnie morzem — to zwycięski krzyk proroka:

— *Nlechaj silniej zagrzi burza!...*

A. KUPRIN.

Morderca.

Mówiono o obecnych wypadkach: o rozstrzelaniach, egzekucjach, o żywcem spalonych, o pohańbionych niewiastach, o pomordowanych starcach i dzieciach, o czułych miłujących wolność duszach, skalanych na wieki, wdeptanych w błoto ohydą gwałtu i bezprawia.

Gospodarz domu rzekł:

— Strach pomyśleć — jak zmieniła się fizyognomia życia! Nie dawniej, jak pięć lat temu, całe nasze społeczeństwo oburzało się i protestowało z powodu jakiegoś, dajmy na to, pojedynczego bezprawia. A teraz? Tam rozstrzelano cały tłum bez uprzedzenia; tam powieszono przez omyłkę jednego człowieka zamiast kogo innego, gdyż nosił to samo nazwisko; tam strzelają do ludzi ot, tak sobie, dla przyjemności, aby wypróbować broń; tam porywają i katują nahajkami na ulicy inteligentnego studenta, katują bez wszelkiego ku temu powodu, ot, dla zabawienia żołnierzy i oficerów. I cóż? Ani to wywołuje w nas zdumienie, ani zgrozę, ani oburzenie. Wszystko to spowszedniało...

Ktoś poruszył się nerwowo w kącie kanapy. Wszyscy zwrócili się w tę stronę, czując, że ten człowiek zaraz przemówi, chociaż go nie widzieli. I człowiek ten począł mówić cichym, przesadnie spokojnym tonem, ale z tak częstymi przerwami między słowami i z tak dziwnem drganiem w głosie, że dla wszystkich stało się zrozumiałem, jak trudno mu jest opanować wewnętrzny niepokój i żal.

— Tak... oto co chciałbym... Według mnie... nie jest prawdą... że to może spowszednieć... Rozumiem jeszcze zabójstwo... przez zemstę — w niem jest jakaś wielka, jakaś zwierzęca radość. Rozumiem zabójstwo w gniewie, w zamroczeniu umysłem, przez zazdrość. Wreszcie zabójstwo w pojedynku... Ale gdy ludzie robią to mechanicznie... bez rozdrażnienia... bez obawy jakiegokolwiek odpowiedzialności... nie spodziewając się nawet oporu... nie, to dla mnie jest tak dzikiem, okrutnem i niepojętem, jak niepojętą jest psychologia kata... Kiedy czytam lub myślę o naszych pogromach, o ekspedycjach karnych, lub też o tem, że na wojnie dobijają nieraz niewolników, aby nie obciążać nimi oddziałów — dostaję zawrotu w głowie. Stoję, zda się, nad jakąś ciemną, pełną wyziewów zabójczych otchłanią, do której nieraz spada dusza ludzka... I nic już nie pojmuję... jest mi obrzydliwie, aż do mdłości... ale straszna, mę-

cząca, chorobliwa ciekawość przykuwa mnie do tej okropności... do całego ogromu tego upadku człowieka...

Umilkł na chwilę, odetchnął ciężko i, kiedy znowu przemówił, to ze zmienionego głosu, który stał się naraz przygłuchłym, można się było domyśleć, że mówiący zakrył oczy rękami.

— Cóż robić... niema rady... muszę to opowiedzieć. Na duszy mojej też leży cień tego wczorajszego koszmaru... Około dziesięciu lat temu popełniłem zabójstwo... Nie mówiłem o tem nikomu dotychczas... ale... niech tam... Musicie zatem państwo wiedzieć, że w majątku mym, to jest w domu miałem kotkę, wychudłą, małego wzrostu, zamorzoną... podobną raczej do kociaka biało-szerstnego, ale ponieważ kotka ta zamieszkała u mnie pod piecem, to zawsze była brudno-szarą, a raczej fioletową...

Całe to zdarzenie miało miejsce zimą... Tak, późną zimą. Był poranek — cudny, cichy, bezwietrzny. Świeciło słońce już ciepłe, na śnieg zaś poprostu nie można było patrzeć, tak był olśniewający. Roku tego śniegu napadało nadzwyczaj dużo — i wszyscyśmy chodzili na nartach. I oto tego poranku nałożyłem narty i poszedłem obejrzeć szkółkę owocową, którą tej nocy poniszczyły zające. Poruszałem się powoli, po cichutku, wzdłuż prawidłowych szeregów młodych jabłonek i jak teraz pamiętam,

śnieg wydawał się różowym, cienie zaś od małych drzewek leżały zupełnie niebieskie i takie piękne, że chciało się poprostu stanąć na kolana koło nich i zanurzyć twarzą w puszystym śniegu...

I oto podchodzi ku mnie naraz stary robotnik Jazykant. Nazywano go jakoś inaczej, ale już takie mu pozostało przydomkowanie. Idziemy z nim razem, — on też na nartach, — rozmawiamy to o tem, to o owem. Naraz zaśmiał się i rzekł:

— A nasza kotka, proszę pana, bez nóżki została.

Spytałem: a to dlaczego?

— Pewno wpadła w żelaza na wilki. Pół nogi na czysto!

Zaprzagnąłem wtedy popatrzeć na nią i udaliśmy się do domu. Wkrótce drogę przeciął nam cieniutki ślad z częstych plamek czerwonych. Ślad prowadził nas ku zaspie, pod którą siedziała pokaleczona kotka. Ujrawszy nas, skuliła się, żałośnie rozdziawiła pyszczek i zamiauczała. Pyszczek miała niezwykle wychudły i brudny. Prawą, przednią jej łapę przegryzioną miała powyżej zgięcia w kolanie i dziwnie sterczącą do góry, niby raniona ręka, a z niej rzadkiemi kroplami spływała krew i wysuwała się nazewnątrz biała, cieniutka chrząstka.

Poleciłem Jazykantowi:

— Idź do mej sypialni i przynieś fuzyę. Wisi na dywanie, nad łóżkiem.

— Ależ nic jej nie będzie! Wygoi się! — zawołał robotnik.

Ale ja uparłem się przy swoim. Chciałem przezwyciężyć męki pokaleczonego stworzenia. Prócz tego byłem pewien, że rana napewno wywołała zakażenie, i kotka tak czy owak zdechnie od zakażenia krwi.

Robotnik przyniósł fuzyę. Jedna jej lufa nabita była drobnym śrutem na ptactwo, druga śrutem wilczym. Począłem nęcić kotkę: kci-kci-kci... Kotka cicho zamiauczała i zrobiła kilka kroków naprzód. Wtedy zaszedłem jej z prawej strony tak, abym miał przed sobą jej lewy bok, wziąłem na cel i wystrzeliłem. Było do niej nie więcej, niż sześć siedm kroków, to też zaraz po strzale wydało mi się, że w boku kotki utworzył się czarny otwór, wielkości dwóch moich pięści... Ale nie zabił jej. Kotka zapiszczała przeraźliwie i rzuciła się do ucieczki z niezwykłą szybkością, wcale nie kulając.

Widziałem, jak przebiegła szeroki na jakieś półtoraset kroków dziedziniec i wpadła w ciemny czworobok otwartej spiżarki. Zrobiło mi się przykro, ogarnął mnie wstyd i wstręt. Pobiegnęłam za nią. Po drodze wypadła mi noga z narty. Padłem bokiem w śnieg i ledwiem się wygramolił. Ruchy

moje straciły naraz zwinność, do rękawów kożuszka nabrało się śniegu, a ręce trzęsły się z zimna.

Wszedłem na dziedziniec i przedostałem się do spiżarki. Było w niej zupełnie ciemno. Pragnąłem zawołać kota, ale wstyd mię było to zrobić. Naraz posłyszałem u góry ciche, nienawistne mruczenie. Spojrzałem do góry i ujrzałem tylko jej oczy: dwa zielone, ogniste punkciki. Siedziała na piecu.

Wystrzeliłem na chybił trafił w te zielone punkciki, prawie nie celując. Kotka wrzasnęła, rzucała się, zatrzepotała... Potem uciekła... Chciałem już odejść, gdy znowu z pieca dobiegło mię długie, złowrogie mruczenie. Obejrzałem się. Dwa zielone punkciki wyzierały z ciemności z wyrazem takiej dyablej nienawiści, że włosy mi na głowie poruszyły się i skóra na czole zziębła.

Poszedłem prędko do domu. Gotowych nabojów do fuzyi nie miałem więcej, miałem natomiast rewolwer Smitha i Wassona z całą paczką naboji. Nabiłem go sześciu nabojami i wróciłem do spiżarki.

Kotka już zdala przywitała mnie swem okropnem mruzeniem. Wsadziłem w nią wszystkie sześć naboji, poczem wróciłem do domu, znowu nabiłem fuzyę i znów wsadziłem w nią sześć kul. I każdym razem powtarzały się te same wściekłe rzucania się i drapanie na piecu i bolesne wrzaski; a po-

tem znowu widziałem dwa zielone ogniki i sły-
szałem długie, uporczywe mruczenie...

Nie było mi już jej żal, rozdrażnienie zaś też
mnie minęło. Stępiełem, zda się, na wszystko,
i tylko, jakaś zimna, ciężka, niezaspokojona żądza
morderstwa kierowała memi rękami, nogami, ca-
łym ciałem. Samopoczucie nie spało, owinięte ja-
kimiś brudnymi, śliskimi pieluchy. W piersiach
czułem łaskotanie bliskiego omdlenia. Ale nie mo-
głem powstrzymać się.

Pamiętam również, że jasny, chłodny, piękny
poranek zimowy naraz jak gdyby zmienił się i po-
ciemniał: śnieg pożółkł, niebo stało się szarem,
a w głębi mej duszy legła jakaś dziwna obojętność
ku wszystkiemu: ku niebu i ku słońcu, a nawet
i do drzew, rzucających swemi gałęzmi przecudne
cienie.

Wróciłem po raz trzeci z domu do spiżarki z na-
bitym rewolwerem. Naraz wyszedł z niej robotnik,
trzymając za tylne łapy coś czerwonego, poszar-
panego, z wypadniętymi trzewiami. Ujrzawszy
mnie, rzekł posępnie:

— I po co to... nie trzeba... już ja sam...

Usiłował nie patrzeć mi w oczy, ale ja wyra-
źnie widziałem na twarzy jego wyraz wstrętu i do-
myśliłem się, że wstręt ten mnie się tyczył. Za-
szedłszy za róg budynku, zamachnął się i wyciął
głową kotki o belkę. I wszystko zostało skończone...

Opowiadający umilkł. Słyszać było, jak niespokojnie kręcił się na otomanie. Potem ciągnął ciszej, niż przedtem, z odcieniem żalu:

— Tak więc oto... Przez cały dzień ten krwawy sen nie wychodził z mej głowy. Nawet w nocy długo nie spałem, wciąż myśląc o brudnej, białej kotce. I wciąż nawiedzała mię myśl, że ja znów idę do spiżarki i znów słyszę bolesne i złowrogie zarazem mruczenie, znów widzę te zielone, ogniście punkciki, pełne przerażenia i nienawiści, i wciąż strzelam do nich, strzelam... Tak, moi przyjaciele, muszę wyznać... że było to najokropniejsze, najwstrętniejsze wrażenie w całym mem życiu!... Wcale mi nie żal tej brudnej, białej kotki! Nie... Zdarzało mi się nieraz polować na łosie, niedźwiedzie... Trzy lata temu w czasie wyścigów zabiłem konia pod sobą... Zresztą, byłem przecież na wojnie, pal diabli! Nie, to co innego. I do końca swych dni nie zapomnę, jak naraz z dna mojej duszy podniosła się i owładnęła ją, oślepiła, zalała, jakaś mroczna, nikczemna, a wraz z tem nieznaną i niezwalczoną, groźna siła. Ach, ten czerwony tuman, to zdrętwienie serca, ta obojętność omdlenia, ta cicha żądza mordy!...

Znów umilkł. Jakiś niski głos odezwał się wtedy z kąta:

— Tak, to prawda... To bardzo ciężkie wspomnienie...

Ale opowiadający przerwał mu naraz z żywą gestykulacją:

— Nie, nie, pomyśl pan tylko, tylko pan pomyśl o tych nieszczęśliwych, którzy szli na mord, zabijali, katowali! Sądzę, że wtedy dzień musiał się im wydawać czarnym, jak noc! Sądzę, że musiało im się słabo robić od krwi przelanej, a oni nie mogli się zatrzymać. Mogli oni w te dni spać, jeść, pić, nawet rozmawiać, nawet śmiać się, ale to byli nie oni, lecz panujący nad nimi szatan o przygastłych oczach i śliskiej skórze... Mówię „nieszczęśliwi“, ponieważ wyobrażam ich sobie nie teraz, a później, kiedy będą starcami. Przecież oni nigdy, ale to nigdy, nie zapomną tej obmierzłości i tej zgrozy, które w te dni nazawsze oplugawiły ich dusze! Wyobrażam sobie ich długie, bezsenne starcze noce, ich straszne sny! Wciąż im się będzie zdawało, że idą po długich, żalobnych drogach, pod pociemniałym niebem, i że po obu stronach ich szlaku stoją w nieskończonym łańcuchu bezbronni, przywiązani ludzie, a oni biją ich, strzelają do nich, miażdżą im głowy kolbami... I niema już w tych katach ani gniewu, ani litości, ani skruchy, a przecież nie mogą się oni powstrzymać, bowiem krwawy obłęd owładnął ich mózgami! I będą budzić się w lęku, będą trząść się, ujrawszy odbicie swoje w zwierciadle, będą płakać i bluźnić

i zazdrościć tym, czyje życie w kwiecie lat prze-
rwała ich ręka. Ale szatan, który wydarł z nich
duszę — nie porzuci ich nigdy. I nawet w przed-
śmiertnej agonii będą widziały ich oczy przelaną
przez nich krew.

S. ASZ.

Na brzegu Wisły.

Noc ciemna. Samotny błędzę w mroku. Domy, które za dnia stały szeregiem, teraz, zda się, bawią się w ciuciubabkę. Rozbiegły się daleko, daleko, oderwały się jedne od drugich, rzec można od świata całego, nie tworzą już więcej miasta, lecz toną, giną w nieskończoności.

Gdy ujrzysz ciemną plamę, niby grzyb na ziemi wyrosłą — będzie to strzecha słomiana. Tak tajemnicze jest wszystko... I zastanawiasz się wtedy, czy w istocie ludzie wybudowali te domy? Czy nie wyrosły one same z ziemi, jak wyrasta trawa na łące lub drzewo w lesie?...

Teraz dopiero czujesz się wolnym, człowieku, na tej nadrzecznej płaszczyźnie.

Wszystko wokoło śpi i miewa tęczowe sny. Wszyscy złożyli głowy na łonie pramacierzy-przyrody. Wszyscy zdają się być szczęśliwymi i zadowolonymi z losu, nikt nie narzeka na dolę i innej doli nie pragnie. Czarne kominy zarysowują się na tle nieba, jak gdyby słały modły za śpiących ludzi:

O, Stwórco, miej ich w swojej opiece.

Oto zbliżam się ku górze zielonej.

Z owiewającego ją mroku wyłania się szereg domów. Domy te dziwią się, gapią na mnie, jakby chciały powiedzieć:

— Patrzcie no, skąd się tu wziął ten włóczęga?

A przyszedłszy do przekonania, że niema potrzeby się dziwić, znowu okryły się płaszczem mgły nieprzejrzanej.

A oto góra. Wdzieram się na nią.

Jest to moja stara znajoma. Podobnie, jak dobroduszy dziadunio, który pozwala wnuczętom targać się za srebrzystą brodę i usadawiać na swych ramionach ze słowami:

— Właźcie, właźcie, dzieciaki, jeśli tak wam na tem zależy! — tak i ta góra przemawia do nas, do swych wnuków:

— Bawcie się, bawcie mym piaskiem. Wszakże wszyscy jesteście mi jednako drodzy i jednako bliscy!

Wdzieram się na górę, na sam szczyt góry. Ze szczytu patrzę w dół. Tam w dole domy jakby znowu zbiegły się, zbiły w kupę i patrzą na mnie z podziwem i nieufnością. Tak samo patrzy na mnie czyste, błękitne niebo i gwiazdy nieprzeliczone, drżące i cudne.

Lekka mgła owiała całe miasto, dumnie wystrzelające w górę ku niebu małą dzwonnica kościoła

oraz szczytem synagogi, która wrzyna się w obłok. Tak dalekie są za dnia od siebie te gmachy, tak dalecy ludzie! A oto noc zbliżyła wszystko do siebie, spokrewniła! I dzwonnica i kopuła synagogi, jak gdyby zapomniały o swej odwiecznej nienawiści i zaczęły żyć w zgodzie, w miłości, wszakże jedno niebo rozpostarte nad niemi.

O jednym zamyśliły się obie, o tem, że jeden Bóg strzeże je razem i jeden ma pieczę nad niemi.

Wszedłem jeszcze wyżej na górę.

I dzwonnica i synagoga śledzą za mną bez przerwy, szepcząc między sobą coś dla mnie niezrozumiałego, niejasnego. Jednak domyślam się, że żałują mnie razem.

— Patrzcie-no, on nas opuszcza, on już odchodzi... A my zostaniemy.

To znów, zdaje mi się, że mi zazdroszczą.

— Spójrzcie! Oto szczęśliwiec, który może z sobą robić, co zechce! Ma on ręce i nogi. A my musimy wiecznie być na tem samem miejscu!

Przeszedłem szczyt i oto teraz spuszczam się z przeciwnej strony góry. Tu widzę dwa nieba! W górze Stwórca rozpostarł niebieski, pełen deseni kobierzec, mający mu służyć za podnóże. A w rzece, którą widzę — drugie niebo, niebo nasze, ziemskie...

To górne niebo stworzył Bóg dla siebie i dla swych aniołów. Dumnie spogląda ono z góry,

jakby pojmując, jak nieskończenie wyższem jest od ziemi i od jej mieszkańców. Ile boskości ma w sobie, jak cudne są miliony jego gwiazd! Jak cudnym jest księżyc, skąpany w morzu jego ogni.

Zupełnie innem jest to drugie niebo — niebo Wisły. Jest ona niebem tylko dla nas, dla malutkich, nic nieznaczących ludzi. Jej seledynowe niebo zrosło się z nami i z naszą duszą.

Niema na niem lśnienia światła, ogni; ale jego cichy, beztroski wyraz — jest wszystkim nam drogi. Niema obawy, że ta toń mogłaby cię pochłonać, nie! Ty bez obawy powierzasz jej swą duszę. Ta rzeka ma to do siebie, że namiętne pragnienie oddania jej całej swej duszy, opanowuje cię, niby chłopca spląkanego i stęsknionego po matce.

Chce ci się i płakać i szlochać na jej widok, i mieszać swe łzy ze wzburzonymi falami w jedną potężną symfonię.

Mknie rzeka, fale pędzą jedna za drugą, woda wciąż nadpływa.

I wydaje ci się, że ten napływ śpiewa pieśń twojej duszy, ujawnia nieskromnie twe sanktuarium. Ale nie! Rzeka ta śpiewa swą własną pieśń, opowiada wszystkim swe własne baśnie, tajemnice, rozwiera sanktuarium swej duszy.

Słuchaj, słuchaj tej cudnej symfonii i będzie ci lekko na duszy i zechcesz wypłakać się i przypaść

do niej, jak do piersi kochającej i kochanej dziewczyny!

Oto Stwórca zstąpił z niebios. Opuścił swój tron i rozlał swą łaskę na całe przestworze, tajemne i pełne przedświtowych obłoczków. W całej swej wspaniałości ukazał się Stwórca na ziemi, aby uważnie przysłuchać się harmonijnej pieśni świata. Fale nuca pieśń, kołysząc się, goniąc jedna drugą, zlewają się i całują brzegi wiślane, tak czarująco malownicze, brzegi Wisły, która bierze początek w jednym końcu świata, a kończy się w drugim.

Mgła podniosła się z ponad zielonych łąk i pokryła rzekę, niby weselnym baldachimem, utkany z ludzkich pocałunków. I zdaje się, jakoby w świecie zastygły wszystkie gorące łzy, łzy świata, łzy wyrwane ze zmęczonych serc, skąpanych w morzu miłości i nadziei.

Wszystko pokrył ten prawdziwy baldachim.

Wszystko, co stworzył Bóg, pogrąża się, omywa i tonie w tem morzu bezgranicznej miłości i radości przed wschodem słońca.

Siedzę nad Wisłą i patrzę.

Słyszę śpiew nocy. Jakiem smętnem echem rodzi się ona i zamiera.

Pieśń ta harmonizuje z szumem wiślanych fal.

Prąd bystry unosi te szeleszczące oddźwięki w dal... Słyszać zdala jakby szczebiot niewidzialnej ptaszyny, która powierza nam swą duszę, swą

tęsknotę i swoje marzenia... I oto ustaje pieśń i znów wszystko ogarnia niema cisza.

Siedzę na brzegu rzeki i wpatruję się w zwierciadło wód, w przedziwne, czarujące niebo, — gwiazdy.

Kryję swą twarz w przewonnej, soczystej trawce, a dusza `moja myślami tonie w modlitwie:

— O, Pani! Czemużeś Ty wybrał niebo swą rezydencyą? Dlaczego ukrywasz się przed nami w tajemniczej, niedosiężnej wysokości? Zejdź ku nam, na ziemię! Czyliż ci będzie niemiło, jeżeli wszyscy ludzie staną się aniołami? Czemuś obdarzył mnie, wbrew mojej woli, rękami, nogami, abym mógł stąd odejść; uszami, abym mógł wszystko słyszeć i oburzać się na nikczemność; oczami, abym widział?... Nawet czułego i wrażliwego serca, w którym wszystko znajduje oddźwięk — nawet serca nie pozbawiłeś mnie! A ja pragnąłbym zrósć się, zlać się z tą cichą przyrodą, utworzyć z nią całość z tym bosko-czerwonym pejzażem! Chciałbym być małą trawką, wyrosłą w tym cudownym ogrodzie, albo tą szczebiocącą ptaszynką! Boże, otwórz me serce, rozszerz jego granice, a zmniejsz ten świat, abym go mógł przytulić, ogarnąć i ucałować na wieki!

Leżę z otwartymi oczyma, kryjąc twarz swą w wonnej trawie, zroszonej rosą.

I widzą cud moje oczy! Widzą, jak fale wiślane,

niewinnie, w sekrecie, obejmują, całują jedna drugą. Tajemnicze szmery nie ustają — śpiew nocy trwa jeszcze. Aż oto w gałęzi jednej sosny rozlega się tęskny głos ptaszyny, spragnionej miłości...

I coraz bardziej i bardziej rośnie harmonia nocy. A jej pieśń czuła owładnęła mą duszą.

Stwórca wysłuchał mych modłów. Opuścił swój tron, zstąpił z niebios, złączył się z nieskończonością przestworza i bezkresem je otaczającym.

Wszystko pokrył tuman. Rosa padła na trawy. A ja wciąż leżę na brzegu twarzy ku ziemi.

Stwórca wysłuchał mych modłów.

Oto nic już nie czuję, nie pojmuję, nie widzę.

Wyrastam z ziemi, staję się tytanem, stapiam się.

O, brzegi Wisły umiłowane...

BIBLIOTEKA

URZĘDNIK TOW. WZAJ. UB. W KRAKOWIE

SEKOYA IV.

SZALOM ALEJCHEM.

Matuzal.

Nowela.

I.

Matuzal — tak go nazwano za czcigodny wiek i prawie zupełną bezzębność. Pozostało mu raptem dwa-trzy pieńki — bardzo niedokładny aparat do przeżuwania, zwłaszcza gdy pokarm choć odrobinę jest twardy. Matuzal — jest to koń wysoki, chudy, z wyleniałą skórą, wytłuczonym grzbietem, kiepskimi oczami: na jednym oku ma kataraktę, na drugim stałe zaczerwienienie. Dla uzupełnienia portretu, dodajmy, że ma on zgięte w kolanach nogi, zapadłe boki, obwisłą dolną szczękę, wreszcie wystrzępiony ogon... Na stare lata dostał się on na służbę do woziwody Kasriela.

Z natury swej Matuzal był łagodny i pracowity, ale starość — nie radość. Po długim dniu pracy, zaopatrzwszy całe miasteczko w wodę na całą dobę, był zadowolony, gdy wyprzągnięto go z beczki. Nażuwszy się słomy, zabierał się do pomyj, które żona Kasriela podawała mu w taki sposób,

jak się podaje gościowi półmisek z rybami, albo talerz z obarżankami. Tych pomyj Matuzal zawsze oczekiwał z niecierpliwością; znajdował w nich zawsze kilka kawałków rozmiękczonego chleba, trochę kaszy i innych produktów, dla spożycia których nie trzeba wcale ostrych zębów.

W ciągu dnia żona woziwody zbierała i wrzucała do pomyj wszystko, co mogło się przydać Matuzalowi. Matuzal, przetrąciwszy nieco, zwracał się zazwyczaj mordą ku beczcze, a ogonem ku żonie Kasriela, jakby dziękując za pożywienie. Następnie opuszczał dolną szczękę, przymykał jedyne widzące oko i pogrążał się w swe smętne, końskie dumy.

II.

Nie należy jednakże mniemać, że Matuzal zawsze był takim, jakimeśmy go tu przedstawili. Niegdyś, w inne lata, kiedy jeszcze źrebięciem biegał za matką, mniemano, że z Matuzala wyrośnie prawdziwie niezwykły koń. Znawcy wróżyli mu świetną przyszłość, mówiąc, że będzie to koń przedziwny, że będzie on w uprzęży wraz z najlepszego rodzaju końmi chadzał.

Żrebak wyrósł i przemienił się w konia; włożono na niego uzdeczkę i poprowadzono na jarmark; tam postawiono go wśród wielu licznych koni: po pięćdziesiąt razy ganio go w tył i na-

przód po placu, zagładano w zęby, oglądano jego kopyta; przechodził z rąk do rąk.

Odtąd zaczyna się historia jego włóczęgi; przejścia z miejsca na miejsce, stała zmiana gospodarzy. Matuzal ciągnął najcięższe wozy z ciężarami nie mniejszemi, niż po trzydzieści pudów po kiepskiej, brudnej drodze; bito go batami, bito kijami po łbie, po bokach, po nogach, kędy się dało... Ale Matuzalowi sądzoną była spokojna starość. Zjawił się Kasriel woziwoda i zabrał go z powrotem do miasteczka...

III.

Do tego czasu Kasriel, barczysty Żyd, z przyplaszczonym nosem i obrosłą z góry do dołu twarzą był woziwodą w ścisłym tego słowa znaczeniu; sam zaprzęgał się do beczki i rozwoził wodę po mieście. Chociaż bardzo źle powodziło mu się na tym świecie — jednakże nie można powiedzieć, aby komukolwiek zazdrościł; ale gdy tylko ujrzał kogolwiek na koniu, wnet zatrzymywał się i długo, długo ścigał go wzrokiem. Jedyńcem jego pragnieniem było: dorobić się w jaki sposób konia. Ale chociaż wciąż a wciąż robił oszczędności, w żaden sposób nie mógł zebrać na konia. Mimo to nie opuścił ani jednego jarmarku, aby nie przeszedł się popatrzeć na towar; kupić nie kupić — potargować można. Kiedy Kasriel zobaczył nieszczęśli-

wego, bez uzdy, wymordowanego konia, nawet nie uwiązanego do parkanu, to zatrzymał się: serce mu podpowiedziało, że ten koń nie przewyższa zawartości jego kieszeni! Nie trzeba się było bardzo długo targować. Kasriel zabrał konia do domu. Przyszedszy, zastukał do drzwi. Z domu wyszła przestraszona żona woziwody.

— Co się stało? Pan z tobą!

— Kupiłem! Doprawdy, kupiłem!

Odtąd Kasriel z żoną w żaden sposób nie mogli obmyśleć, gdzieby pomieścić konia. Gdyby też to nie obawiali się ludzkich przesądów, przeznacziliby mu na miejsce pobytu część swego domu. Dostali trochę siana i słomy. Kasriel z żoną stali napawając się widokiem swego konia i nasycić się dostatecznie nie mogli...

Sąsiedzi również zebrali się popatrzeć na konia. Żartowali, śmiali się, wygadując najrozmaitsze słowa. Jeden powiada: „Jakiż to koń? — Toż to źrebię!” Drugi oponuje: „Alboż to koń? — To kot!” Trzeci postrzega, że jest to istota bezcielesna, którą trzeba chronić przed wichurą, gdyż ją ta zniesie.

— A ile też ma lat? — ktoś pyta zaciekawiony.

— Więcej, niż Kasrielowi i żonie razem.

— Lata Matuzalowe!

— Matuzalowe!

Ten okrzyk przywarł do niego na zawsze.

IV.

U Kasriela Matuzalowi żyło się bardzo dobrze, lepiej, doprawdy, niż za lat młodości. Po pierwsze, robota była zupełnie bagatelna. Ciągnąć beczkę wody i przed każdym domem zatrzymywać się. Po wtóre, gospodarz był bardzo dobry: nie pozwalał, aby ktokolwiek nawet palcem go trącił, lub krzyknął głośno; bat trzymał tylko dla zasady. Następnie: żywność! Prawda, owsa nawet na oczy nie widział, ale na jakie licho mu owies, kiedy żuć nie ma czem? Pomyje z miękkimi kawałkami chleba, jakie mu codziennie podaje Kasrielowa, doprawdy lepsze. Wiele przytem mu robią honoru przy podawaniu. Dość spojrzeć tylko, jak żona Kasriela stoi, założywszy ręce na piersi i lubuje się widokiem, jak Matuzal je! Nadejdzie noc — pościelą mu koło domu trochę słomy; w nocy to gospodarz, to gospodyni kilkakrotnie wyjdzie na skontrolowanie, czy go nie ukradziono... Skoro świt Kasriel już stoi koło konia, powoli zaprzęga go do beczki, sam usadawia się i jedzie do rzeki po wodę, pośpiewując przytem z psalterza: „Błogosławiony mąż, który nie kroczy...” oczywiście, piechotą. Z powrotem, z pełną beczką Kasriel już kroczy razem z koniem, wraz z nim depcze w błocie, wymachując batem: „A no, Matuzalu, rusz-no się przyjacielu!” Matuzal wlecze się krok za kro-

kiem i myśli: „Odkąd żyję na świecie, jeszcze podobnego człowieka nie widział“. I naumyślnie upiera się tylnymi nogami i zatrzymuje się w pewnym miejscu. Jakby chciał powiedzieć: „Zobaczmy, co będzie“. Kasriel krząta się koło beczki, ogląda kółła, osie, dotyka ręką sznurków. Matuzal tymczasem zwraca głowę ku Kasrielowi, mlaszcze jakby uśmiechał się szczękami i myśli do siebie: „Ach, jakiż dureń ten woziwoda! Doprawdy, to cielę bez rozumu!...“

V.

Zdawałoby się, dobrze mu było na świecie — gdzie tam! Zdawałoby się, szczęśliwą była starość Matuzala u takich gospodarzy, jednakże musiał i tu znieść wiele udręki i przykrości i nieprzyjemności wszelkich; od tego przecież były dzieci, dzieci Kasriela, dzieci sąsiadów i dzieci wogóle. Ledwie Matuzala przyprowadzono, zaledwie dzieci go ujrzały, wnet zaczęły się męki. Dzieci poczuły ku niemu jakąś jakby nienawiść, nie nienawiść — one lubiły go, ale od tej miłości życie przykrzyło się Matuzalowi. Niechby go mniej kochały, a więcej żałowały! Doprawdy, byłoby lepiej. Przedewszystkiem dzieci Kasriela, bosonogie chłopcy z Talmud-Tory, postanowili wypróbować, czy Matuzal ma to samo czucie, co człowiek; uderzono go więc lekko kijem po nodze — nic; podrażniono nogę — nic;

dotknięto patykiem nozdrzy — wstrząsnął się trochę. Dopiero kiedy przesunięto słomką po oku, zauważono, że Matuzal czuje, jak człowiek, gdyż mrugnął powieką i rzucił łbem, jakby mówiąc: „Nie, to mi się wcale nie podoba!“ Chłopcy wyjęli pręt z parkanu i wsunęli mu w nos głęboko — Matuzal aż podskoczył. Wypadł z domu Kasriel z krzykiem:

— Łobuzy jedne, czego konia drażnicie! Precz do szkoły, hultaje!...

Dzieci rzuciły się z całej siły do ucieczki...

VI.

Z pośród uczniów Talmud-Tory wyróżniał się niecny chłopak, Ruwka. Sama matka o nim mówiła: „Takich wisielców nie powinno być na świecie!“ Gdzie dach, gdzie lamus — tam i on był. Rozpędzić gęsi, kaczki, przestraszyć uwiązaną kozę, dręczyć koty, bić psy (o świniach niema co i mówić!) — stanowiło to jego prawdziwą namiętność.

Ani „śmiertelne“ bicie matki, ani różgi nauczyciela, ani darcie za uszy przez obcych ludzi — nic go nie opamiętywało. Wymyślaj na niego czy nie wymyślaj — tyleż to znaczy, co groch na ścianę! Przed chwilą bity, zalewał się łzami, a oto już wysunął swój język wiśniowego koloru, albo komuś dał w tył kolanem. Dowiedziawszy się, że Kasriel

przywiódł z jarmarku konia, Ruwka skoczył na ławkę, wytarł nos obiema rękami i krzyknął:

— Chłopcy, teraz będziemy mieli smyczek!

Trzeba dodać, że Ruwka od dziecka lubił muzykę, zwłaszcza skrzypce. Wprost tęsknił do muzyki; miał przy tem przyjemny głosik, umiał na pamięć mnóstwo piosenek. Stałe marzył o tem, że gdy wyrośnie duży, kupi sobie skrzypce i będzie grał po dniach i nocach. Na razie zrobił sobie skrzypeczki z drzewa z nićmi zamiast strun. Nie mało za to wycierpiał ze strony matki.

— Na muzykanta wyrośniesz? Niedoczekanie twoje!

Wieczorem, kiedy nauczyciel Chaim-Chonia rozpuścił swą komendę, dzieci udały się popatrzeć na Matuzala.

Pierwszy wyraził swoją opinię Ruwka. „Matuzal niezły rumak, da on strun bez liku“.

Ruwka podkradł się z tyłu i począł ciągnąć włosy z ogona.

Dopóki ciągnięto po jednym włosku, Matuzal był spokojny: „Nie wielka bieda, mniej włosów w ogonie będzie!“ Kiedy zaś Ruwka zabrał się do dzieła jak należy i począł ciągnąć całe masy włosów, Matuzal rozgniewał się: „wpuść świnię do domu, wlezie ci na stół...“ i nie wiele myśląc kopnął Ruwkę tylną nogą w zęby, rozciął mu dolną wargę.

— Oto masz naukę, podły chłopcze! Oj, doloż ty moja! Wiedziałam już dawno, że będzie nowe nieszczęście! Nie leż, nicponiu, na drugi raz! — krzyczała matka, Enta, przykładając mu zimną wodę do ust, płakała, załamywała ręce, wreszcie pobiegła do znachorki Chieny, nadłamując swe nogi.

VII.

Warga u Ruwki prędko zrosła się. Wszystko u niego prędko leczyło się. Wtedy chłopiec obmyślił inną rzecz: jego zdaniem dobrze byłoby przejechać się wieczorem całą kompanią na Matuzalu... Jakby to tylko zrobić, aby nikt nie zauważył? Ruwka doszedł do przekonania, że najlepszą porą do tej sprawy — jest sobota, w dzień, kiedy wszyscy mieszkańcy po obiedzie położą się spać. Wtedy nawet wszystkie konie z miasteczka możnaby wyprowadzać... Jeden z chłopców spróbował zaproponować: „Jakże żydowskie dzieci mogą jeździć na koniu w sobotę?“

— Głupcze! Alboż to można nazwać jazdą? Toż to zabawka! — odparł Ruwka.

Nadeszła sobota, wszyscy w miasteczku po obiedzie poukładali się spać. Kasriel i żona jego również. Wtedy chłopcy po jednym poschodzili się na podwórko, gdzie był Matuzal. Ruwka począł przystrajać konia stosownie do uroczystości, zaplótł mu grzywę w kilka warkoczy, przeplótł je

sianem, nałożył mu na łeb papierowy kołpak, na szyję ponawiazywał wstążeczek, do ogona przywiązał stary drut. Poczęto usadzać się; kto zdążył, ten zajął miejsce na koniu; pozostali oczekując swej kolei, szli z tyłu, pomagali krzykiem poganiać Matuzala.

Ale Matuzal nie miał jakoś chęci biedz, szedł powolnym krokiem: po pierwsze, nie miał gdzie się śpieszyć, powtóre — sobota, dzień odpoczynku... Ruwka nie przestawał drzeć się na całe gardło i popędzać konia, zachęcając resztę koleżków, by i oni nie milczeli. Matuzal jakby go to nie tyczyło się; idzie sobie krok za krokiem, najspokojniej w świecie i myśli: „Bawcie się dzieci, bawcie, niech tam!“

Jednakowoż kiedy chłopcy poczęli krzyczeć głośniej, a nawet bić go, Matuzal podał kroku. Drut zaczął uderzać Matuzala po nogach, Matuzal pobiegł, drut bił go jeszcze mocniej, jeszcze dotkliwiej. Matuzal popędził. Chłopcy, zadowoleni byli, zaś Ruwka podskakuje i krzyczy: Hop-hop-hop! Skakali, kręcili się na koniu, aż wszyscy jeden po drugim pospadali na dół. Matuzal poczuł się wolnym, rzucił się z całej siły, z takim pędem, że nikt się tego po nim nie spodziewał, pogonił daleko, daleko, aż poza młyny. Pastuchy zobaczyli Matuzala w białym kołpaku, rzucili się za nim, poczęli rzucać kamienie, kije, wreszcie podszczuli

go psami. Psy rzuciły się na Matuzala, zaczęły kąsać go, szarpać: jeden z tyłu za nogi, inne z przodu za gardło. Matuzal chrapał, rzucał się, odbijał się, wreszcie padł.

VIII.

Nazajutrz chłopcy dostali straszne cięgi. Rodzice nie żalowali rąk, a nauczyciel Chaim-Chonia — różeg. Najwięcej oczywiście dostał Ruwka. A to dlatego, że Ruwka ma zwyczaj śmiać się nawet wtedy, gdy go sieką różgami. Nauczyciel złości się i bije mocniej, a Ruwka jeszcze bardziej zaczyna się śmiać. Im mocniej go bije, tem ten głośniej śmieje się, im głośniej śmieje się — tem go bardziej bije...

Tylko dwojgu ludziom na śmiech się nie zbierało: woziwodzie Kasrielowi i jego żonie. Gorzkiemi łzami oplakiwali oni śmierć swego chlebowawcy — kochanego przyjaciela w niedoli — Matuzala.

SZALOM ALEJCHEM.

Dzieci.

(Kartka z Pleśni nad pleśniami).

I.

...Buzia (skrótowe imię od „Esther-Liby“, „Libuzi-Buzi“) jest starszą odemnie o rok albo o dwa. Oboje nie mamy razem dwudziestu lat. Teraz już sami zadajcie sobie trud obliczyć, ile lat ja liczę, a ile Buzia.

Zresztą sędzę, że niema to wielkiej wagi, i że zastanawiać się nad tem nie warto. Ot, lepiej opowiem wam w krótkich słowach jej autobiografię.

Mój najstarszy brat, Benia, mieszkał na wsi, gdzie miał w dzierżawie młyn. Strzelał on po mistrzowski z fuzyi, jeździł wyśmienicie konno i pływał, jak ryba. Razu pewnego w lecie, kąpiąc się w rzece, utonął. Sprawdziło się na nim przysłowie: „wszyscy dobrzy pływacy topią się“. W spadku pozostawił nam młyn, parę koni, młodą wdowę i dziecko. Młyn oddaliśmy komu innemu, konie

sprzedaliśmy, wdowa wyszła za mąż i wyjechała gdzieś bardzo daleko, a dziecko do nas przywieziono.

Była to — Buzia.

II.

Dlaczego moi rodzice tak kochają i pielęgnują Buzię, łatwo można zrozumieć: znaleźli oni w niej pociechę w swym wielkim smutku. Ale ja? Dlaczego to mnie, kiedy powracam ze szkoły i nie zastaję Buzi, jadło nie przełazi przez gardło? A dość tylko Buzi ukazać się, aby mi się wszystkie kąty jasnymi zdały! Dlaczego, kiedy Buzia mówi do mnie, ja spuszczam oczy; kiedy Buzia śmieje się ze mnie, ja płaczę? A kiedy Buzia...

III.

Długo, długo czekałem wielkiego, kochanego święta — Paschy. Wreszcie i ja będę wolny, będę grał z Buzią w orzechy, biegał z nią po ulicy, chodził na wzgórze koło rzeczki. Tam jej pokażę, jak się puszcza kamieniem „kaczki“ po wodzie. Bo dziś, gdy opowiadam jej o tem, to nie chce mi wierzyć... Śmieje się. Prawda, nic mi więcej nie mówi, śmieje się tylko. A ja nie lubię, gdy kto śmieje się ze mnie. Buzia nie wierzy, że mogę wdrapać się na najwyższe drzewo (dość mi tylko tego zechcieć!). Buzia nie wierzy, że umiem jeździć

konno (niech mi tylko konia podadzą!). Buzia nie wierzy, że umiem strzelać (aby tylko było z czego)... Ale oto przyjdzie Pascha, kochana, droga Pascha, i będę mógł wtedy hawić się na ulicy, spacerować, ile dusza zapragnie, nie pod okiem rodziców; a wtedy pokażę jej takie sztuki, że chyba zemdleje ze zdumienia.

IV.

Oto już nadchodzi wielkie, kochane, drogie święto Paschy.

Wystrojono nas oboje w świąteczne, „królewskie“ ubranka. Wszystko na nas błyszczy się, lśni się, szeleści, wydaje jakiś szmer dziwny. Patrzę na Buzię i przypominam sobie: Pieśń nad pieśniami, której właśnie niezbyt dawno przed Paschą uczyłem się w szkole. Przypominam wiersz po wierszu: „O, jakżeś piękna, oblubienico moja, o, jakżeś piękna! Oczy twoje błękitne pod włosami twojemi; włosy twe niby stado kóz, co schodzą z gór Galaadu; zęby twe, niby stado owiec ostrzyżonych, które wychodzą z kąpieli. — Niby wstęga purpurowa — takie są usta twoje, usta kochane“.

Powiedzcie mi, dlaczego — patrząc na Buzię — przypominam sobie „Pieśń nad pieśniami“, a gdy uczę się „Pieśni“ — w marzeniach swych widzę Buzię?

V.

Na dworze jasno i ciepło. Rzadki dzień wiosenny.

— Pójdźmy chyba, czy co? — mówi do mnie Buzia. A ja już ledwie stoję na nogach, tak nęci mię spacer.

Matka nie poskąpiła nam orzechów. Mamy pełne kieszenie orzechów. Matka wymogła na nas słowo, że nie będziemy ich gryźć do wieczora. Grać w orzechy — to inna rzecz. Wychodzimy. Orzeszki brzęczą nam w kieszeniach. Na ulicy tak pięknie, na ulicy tak jasno. Słońce już gdzieś daleko na niebie. Patrzy ono w dół na tamtą stronę miasta. Dokoła szeroki, swobodny, jasny przestwór. Na wzgórzu poza synagogą, gdzieś ukazuje się już trawka, zielona, świeżuteńka. Z piskiem i ćwierkaniem przelatuje nad naszymi głowami długi sznur małych jaskółek. Znowu przychodzą mi na myśl słowa z „Pieśni nad pieśniami“:

„Kwiaty już ukazały się na ziemi; nadszedł czas śpiewu i głos synogarlicy rozlega się w naszej krainie“.

Jak mi lekko na duszy! Zdaje mi się, że mi skrzydła wyrosły. Oto wzbiję się w górę i polecę.

VI.

Miasto wre dziwnym gwarem. Huczy, brzęczy, wre... Jutro Pascha. Jakże piękne dni teraz. Jasne

i ciepłe. Doprawdy, rzadkie to dni wiosenne. Cały świat w moich oczach nabiera nowego wyrazu. Wszystko mi się inaczej przedstawia. Nasze podwórko — to zameczysko. Dom nasz — to pałac. Ja jestem — król. Buzia — królowna. Drwa, które leżą koło domu — to cedry i bukszpan, o których wspomina „Pieśń nad pieśniami“, kot, co leży u drzwi i grzeje się na słońcu, to jedna z „łani polnych“, o których mówi „Pieśń“. Wzgórze poza synagogą — to góra Liban. Kobiety i dziewczęta, które stoją na dziedzińcu, myją coś, piorą, czyszczą i prasują, wszystko na dzień Paschy — to córki Jerozolimskie, wszystko, wszystko z „Pieśni nad pieśniami“.

Idę, wsunąwszy ręce do kieszeni i potrząsam orzeszkami. Buzia idzie razem ze mną cichymi krokami. Coś ciągnie mnie wzwyż. Chce mi się coś witać, chce mi się latać wysoko, szybować, jak orzeł. Próbuję biegać, Buzia biegnie za mną. Skaczę po poukładanych drwach, z drewnienka na drewnienko. Buzia skacze za mną. Ja do góry i ona do góry; ja na dół i ona na dół. Kto z nas zmęczy się prędzej?... Ciekawym. Odgadłem!

— A może czas już przestać? — zwraca się do mnie Buzia.

Odpowiadam jej słowami z „Pieśni“:

„Dopóki dzień nie westchnie chłodem i nie zapadną cienie“. Cha-cha-cha! Tyś się zmęczyła, a ja nie!

VII.

Jakże się cieszę, jakżem szczęśliwy, że Buzia nie wie tego, co ja wiem! A jednocześnie żal mi jej bardzo. Serce mię boli z żalu. Zdaje mi się, że ma jakąś ciężką troskę. Z Buzią to tak zawsze: wesoła — wesoła, a naraz pójdzie w kącik i zapłacze cichutko. Chociażby nie wiem jak pocieszał ją mój ojciec i pocieszała moja matka — nic nie pomoże. Buzia musi wypłakać się. Po kim Buzia płacze? Czy po ojcu, co tak przedwcześnie umarł? A może po matce, która wyszła za męża, wyjechała i zapomniała o niej? Ach, ta jej matka, jej matka! Kiedy przy Buzi kto wspomni o matce, to staje się niepodobną do siebie. Jest ona bardzo złego zdania o swej matce.

Buzia nic złego o swej matce nie mówi, ale mocno jestem przekonany, że nie lubi swej matki. Nie mogę znieść tego, że Buzia tęskni. Usadawiłem się obok niej na drewniakach i staram się rozproszyć jej smutek.

VIII.

Trzymam ręce w kieszeniach, potrząsam orzeszkami, i odzywam się do niej:

- Zgadnij, co mogę zrobić, gdy zechcę?
- Co ty możesz zrobić? Nie wiem.
- Gdy zechcę, wszystkie twoje orzeszki znajdują się w mojej kieszeni.

— Czy ty je wygrasz?

— Nie, my nawet nie zaczniemy grać.

— Więc jakże, czy może mi je siłą odbierzesz?

— Nie, one same do mnie przyjdą...

A ona podnosi na mnie swe przepiękne oczęta, cudne, jasne oczy z „Pieśni nad pieśniami“. Mówię do niej:

— Czy myślisz, że ja żartuję? Nie, głupiutka, wiem ja takie słowo... że wystarczy tylko...

Ta jeszcze szerzej otwiera oczy... Teraz już czuję się prawdziwym bohaterem i z dumą objaśniam jej:

— My, chłopcy, wszystko możemy zrobić. Mam ja w szkole kolegę, nazywają go „kulawy Szajka“, to on wie wszystko. Niema takiej rzeczy na świecie, o którejby on nie wiedział i którejby zrobić nie umiał. On nawet k a b a ł ę umie. A ty wiesz, co to kabała?

Nie wie, naturalnie, bo skądżeby znów miała wiedzieć. Bardzo mię to cieszy, że mogę jej powiedzieć, co to jest k a b a ł a ?

— Kabała, głupia ty istoto, jest to taka rzecz, która może się przydać. Za pomocą kabały, mogę to zrobić, że ja będę ciebie widział, ale ty nie. Za pomocą kabały mogę wydobyć złoto z kamienia, wino z muru. Za pomocą kabały mogę to zrobić, że my zaraz podniesiemy się w górę aż do chmur, nie, nawet wyżej, niż chmury!...

IX.

Wzbić się z Buzią do góry za pomocą kabały aż do chmur i nawet wyżej, niż chmury, pomknąć z nią daleko, daleko za ocean — stanowi to jedno z najtajniejszych mych marzeń. Tam, po tej stronie oceanu, zaczyna się przecież kraina karłów, potomków bohaterów z czasów króla Dawida. Ci karzełkowie — są to bardzo szlachetni ludzie, żywią się przeważnie słodyczami i mlekiem migdałowem; całymi dniami grywają na lutniach i urządzają pląsy. Nigdy nikogo nie skrzywdzą i są bardzo gościnni. Kiedy ktokolwiek z nas tam przyjedzie, to karły karmią go i poją ile wlezie, podarowują mu najlepsze swe szaty i mnóstwo złotych i srebrnych przedmiotów. Na pożegnanie wypychają mu kieszenie brylantami i dyamentami. Tam, na ulicach ich, brylanty przewracają się, jak u nas śmiecie.

— Czyżby aż tyle ich było? — pytała Buzia, słuchając opowieści o karzełkach.

— Nie wierzysz mi?

— A ty wierzysz w to?

— Dlaczegożby nie wierzyć?

— Gdzieś ty o tem słyszał?

— Co znaczy — gdzie? W szkole!

— Aha, w szkole...

Coraz niżej i niżej opada słońce i obramowy-

wuje niebo czerwono-żółtą wstęgą. Złoto odbija się w oczach Buzi, a one kąpią się w złocie.

X.

Z całej duszy pragnę, aby Buzia zapaliła się do metody kulawego Szajki i do tych sztuk, które można urządzać za pomocą kabały. Ale Buzia tylko się śmieje; inaczejby nie pokazywała mi swych maleńkich perłowych ząbków...

Gniewa mnie to i odzywam się:

— A może i naprawdę mi nie wierzysz?

Buzia śmieje się.

— Ty może myślisz, że ja przechwalam się? Że zmyślam?

Buzia śmieje się jeszcze głośniej. Dobrze, ja cię nauczę. Poczekaj tylko. Już mam środek na ciebie.

Odzywam się:

— Szkoda, że nie wiesz, co to kabała! Gdybyś wiedziała, co to jest, to napewno byś się nie śmiała. Za pomocą kabały mogę, gdy zechcę, wywołać zaraz twoją matkę. Tak! Jeżeli będziesz mię o to bardzo mocno prosić, to ona ukaże ci się jeszcze dziś w nocy. Przyjedzie na miotle.

Buzia odrazu przestaje śmiać się. Chmurka przemknęła się po jej przepięknej, jasnej twarzyczce. Wydało mi się, że słońce naraz jakby skryło się. Obawiam się, że przekroczyłem miarę. Nie trzeba było dotykać jej chorego miejsca — matki. Żałuję

swego postępku. Muszę teraz zatrzeć swą winę, przeprosić ją w jakiś sposób. Przysuwam się do niej bliżej. Ta odwraca się. Chcę ją wziąć za rękę. Chcę przemówić do niej słowami z „Pieśni“.

— Obejrzyj się, obejrzyj, o, Sulamito! Obróć się ku mnie, dziecko...

Naraz słyszę głos z domu:

— Szymek! Szymek!

Szymek — to ja jestem. Matka mnie woła. Czas iść z ojcem do synagogi.

XI.

Czyż może być większa rozkosz, niż iść w przeddzień Paschy z ojcem do synagogi? Jestem od stóp do głów wystrojony w nowiuteńki ubiór, i mam teraz czem chęłpić się wobec kolegów. Poza te nabożeństwa wieczorne i te śpiewy uroczyste w pierwszą noc Paschy! Ach, ileż rozkoszy dał Pan Bóg dzieciom żydowskim!

— Szymek! Szymek!

Mama nie ma czasu! Idę już, idę... Czekaj mammo! Jeszcze tylko dwa słowa muszę powiedzieć Buzi. Jeszcze tylko dwa słowa...

Już powiedziałem. Przyznałem się jej, że powiedziałem nieprawdę. Urządzić tak za pomocą kabały, aby ktokolwiek mógł się wzbić do góry — niepodobna. Samemu wzbić się do góry — to co innego; zrobię to, gdy zechcę. Niech tylko miną

święta — a pokażę ci. Wzniosę się do góry w jej oczach z tego miejsca, gdzie razem teraz siedzimy, z tych oto drewek. W jednej chwili wzniosę się wyżej, niż te chmury... Stamtąd skieruję się na prawo tam — widzisz gdzie? Tam kończy się ląd, a zaczyna Ocean Lodowaty.

XII.

Buzia słucha uważnie. Słońce zachodzi. Ostatnie jego promienie całują ziemię.

— Co to jest Ocean Lodowaty? — pyta mnie Buzia.

— Nie znasz Oceanu Lodowatego? To morze, pokryte lodem. Woda tam gęsta, gęsta i bardzo słona, mniej więcej jak rosół ze śledzia. Okręty po tem morzu nie chodzą, a ludzie, którzy tam się dostają, nie mogą już wrócić.

Buzia słucha, otwierając coraz szerzej oczy.

— Pocóż ty tam pójdziesz?

— Alboż ja idę? Ja polecę. Polecę pod niebem, jak orzeł. Za kilka chwil już będę znowu na lądzie.

Tam długim szeregiem ciągnie się dwanaście wysokich gór, buchających ogniem. Spuszczę się ze szczytu dwunastej góry. Przejdę pieszo siedm mil i dostanę się do prastarego lasu. Chodzę sobie po lesie i chodzę... Las to kończy się, to zaczyna się. Wreszcie jestem u źródła. Przepłynę strumyk i przeliczę siedm razy po siedm. Ukaże się wtedy

spleśniały staruszek z długą siwą brodą i spyta: „Jakie masz pragnienie?“ Powiem mu: „Zaprowadź mnie do królowny“.

— Do jakiej królowny? — pyta Buzia. I wydaje mi się, że zlekła się.

— Do królowny; przecudnej królowny, którą porwano od ślubu, zaczarowano złemi czary, przyprowadzono tu i osadzono w tym kryształowym pałacu. Siedm lat już mija, jak tu siedzi...

— A cóż cię ona obchodzi?

— Jakto co? Muszę ją przecież wyzwolić!

— Ty masz ją uwolnić?

— A któż inny?

— Nie, nie trzeba latać tak daleko; posłuchaj mnie, nie trzeba...

XIII.

Buzia bierze mnie za rękę. Czuję chłód jej małej rączki. Patrzę jej w oczy. Widzę, jak odbija się w nich złote słońce, które żegna się z dniem, pierwszym, jasnym dniem przed Paschą. Powoli gaśnie dzień. Niby świeca, gaśnie słońce. Hałas, trwający przez dzień cały, zamiera... Na ulicy prawie nie widać ludzi. W oknach izdebek ukazują się ogniki świec świątecznych. Dziwna, święta cisza ze wszech stron otacza mnie i Buzię. Czujemy się mocno zrośniętymi z tą ciszą uroczystą.

— Szymek! Szymek!

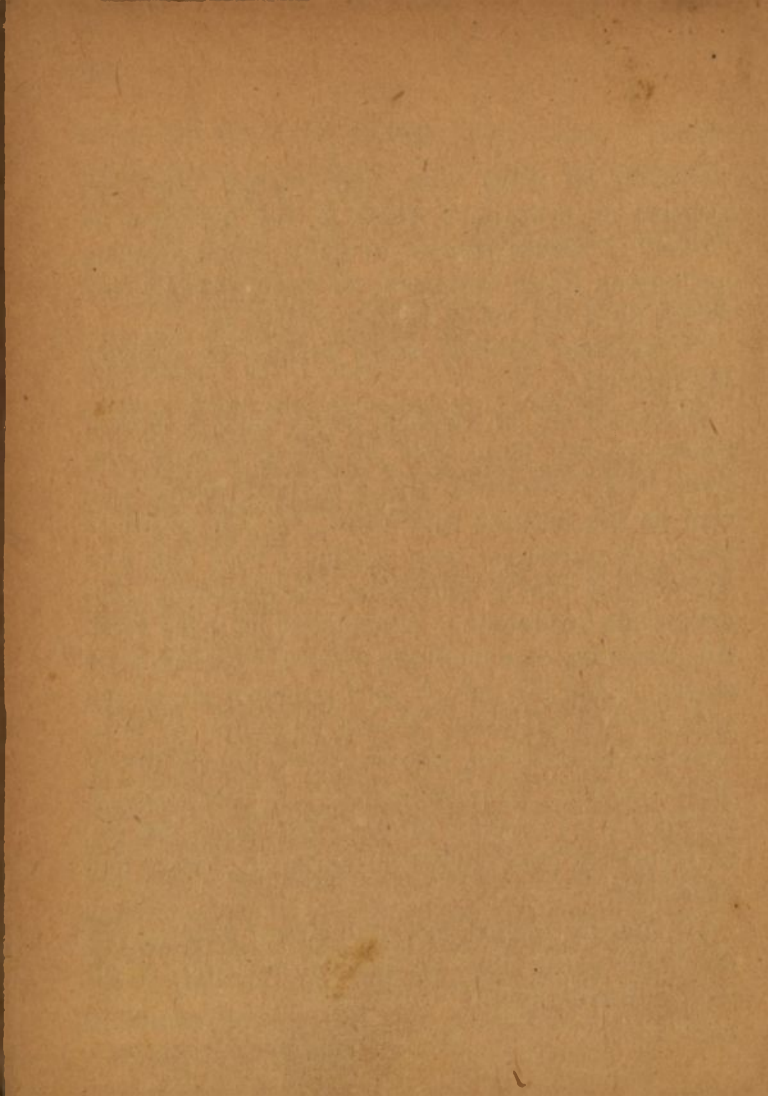
XIV.

Już po raz trzeci woła mnie matka. „Czas iść z ojcem do synagogi“. Alboż ja sam nie wiem, że trzeba? Posiedzę jeszcze chwilkę, jedną chwilkę, nie więcej. Buzia usłyszała, że mnie wołają i wydziera mi z rąk swoją rączkę; mówi mi:

— Szymek, przecież ciebie wołają. Idź prędzej! Idź już, idź...

Zabieram się do odejścia. Dzień znikł w mroku. Słońce zgasło. Złoto stało się krwią. Powiał wiaterek lekki, powiewny. Buzia popędza mnie. Rzucam na nią ostatnie spojrzenie. Nie jest to już ta Buzia, co przedtem. Inny wygląd i inny czar zdobyła ona w tym przedpaschalnym wieczorze. „Zaczarowana królowna“ — przemknęło mi przez myśl. Ale Buzia nie daje mi długo myśleć. Popędza mnie znowu... „Idź już, idź...“ Idę i oglądam się za mą zaczarowaną królową. Postać jej zlewa się teraz zupełnie ze świętym, cichym wieczorem w przeddzień Paschy. Zatrzymuję się, jak zaczarowany. Ta macha mi rączką: Idź już, idź. Zdaje mi się, że słyszę jej głos. Mówi mi słowami „Pieśni nad pieśniami“:

„O, biegnij rychlej, mój ulubieńcze! Stań się podobny do sarny albo do jelenia młodego na górach balsamicznych!“



AUGUST STRINDBERG.

Feniks.

Po raz pierwszy poznał ją w maju, gdy na dziedzińcu kościelnym zakwitły truskawki. Niejedną już dziewczynę widział w swem życiu, ale ujrawszy tę, poczuł, że to właśnie „ona“... Nie odważył się jednak przemówić do niej, ta zaś uśmiechnęła się ironicznie, ponieważ był tylko gimnazystą... Ale oto zdarzyło się, że wrócił do domu już jako student. I wtedy porwał ją oburącz za talję i pocałował, a całując miał ognie w oczach, słyszał w uszach dźwięk dzwonów, granie rogów myśliwskich i czuł tętno ziemi pod swemi nogami.

Miała zaledwie czternaście lat, co nie przeszkadzało jej jednak mieć krągłych piersi, zda się, oczekujących maleńkich, chciwie ssących usteczek; chodziła zaś, chwiejąc miarowo biodrami z taką pewnością siebie, jak gdyby nosiła już parę bliźniąt pod swem sercem. Włosy jej, jasno-złocistego koloru, błyszczące jako miód lipcowy, obramowywały jej czoło, niby aureola świętego. On był jej narzeczonym, a ona mu narzeczoną, skutkiem czego

niby ptaszęta ćwierkali pod lipami w lesie, a życie leżało przed nimi, niby łąka, skąpiana w słońcu... Ale on musiał jeszcze zdać egzamin, egzamin z mineralogii, to zaś wraz z podróżą zagranicę trwało lat dziesięć... Dziesięć lat!

I oto wyjechał do Upsali. W lecie znowu powrócił na dziedziniec kościelny i zastał ją jeszcze bardziej ładną. Trzy razy była dlań taką ładną. Dopiero czwartego, niestety, stała się bledszą. Brzeżki nozdrzy zda się nieco poczerwieniały, piersi zaś jak gdyby stały się mniejsze...

Kiedy nadeszło szóste lato, poczęła przyjmować żelazo, a siódmego pojechała do wód, do kąpieli. Ósmego zaczęły ją boleć zęby, stała się bardzo nerwową. Włosy straciły swój blask, głos stał się szorstkim, ochrypłym, piersi zapadły, na nosie ukazały się czarne plamki. Chód ociężał, lica pożółkły. W zimie dostała gorączki nerwowej, tak, że trzeba jej było ostrzyż włosy. A kiedy włosy wyrosły, to miały już zupełnie inny kolor — popielaty. I oto, zakochał się był w złotowłosej czternastoletniej dziewczynce (jak twierdził, nie znosi brunetek!), a ożenił się z dwudziestoczteroletnią kobietą z popielatymi włosami...

Jednakże kochał ją bardzo. Miłość jego nie była już tak burzliwą jak przedtem, była bardzo spokojną i łagodną i nic nie mąciło ich szczęścia w małej, górskiej miejscinie. Przyszli na świat je-

dno za drugim dwaj chłopcy, ale małżonek pragnął mieć dziewczynkę. Wtedy przyszła na świat mała jasno-włosa dziewczynka.

Była ona żrenicą w oku ojca...

Podrósłszy, zaczęła być podobną do swej matki. Mając lat ośm, stała się zupełnie taką samą, jaką matka była kiedyś. W wolnych od zajęć chwilach, ojciec niczem innem prócz niej, nie zajmował się.

Matka całkowicie ugrzęzła w gospodarstwie; ręce jej zgrubiały, nos stracił swój dawny kształt i skronie mocno zapadły. Cała postać zgięła się wskutek przyzwyczajenia nachylania się nad patelnią. Ojciec z matką widywali się z sobą jedynie w czasie obiadu i w nocy. Nie kłócili się z sobą, ale między nimi nie było już nic, a nic z tego, co było kiedyś... Córka stała się jedyną radością ojca. Można było powiedzieć, że jest on w niej wprost zakochany; zda się widział on w niej odrodzoną matkę i zda się, jego pierwsze uczucia, które tak prędko rozwiały się, znowu zbudziły się w nim. W stosunku do niej był prawie nieśmiały i nigdy nie wchodził do jej pokoju, gdy rozbierała się na noc...

Ubóstwiał ją.

Razu pewnego, nad ranem, córka leżała w łóżku, nie mając jakoś chęci wstać. Matka sądziła, że dziewczynka udaje, aby nie pójść do szkoły, ale ojciec posłał po lekarza. Przyszedł lekarz. Stwier-

dził dyfteryt. Ojciec z matką zmuszeni byli wynieść się stąd wraz z resztą dzieci. Ale ojciec nie chciał wyjechać. Matka odjechała, on zaś pozostał przy chorem dziecku.

Chora leżała w swym pokoju. W mieszkaniu zakadzono siarką do tego stopnia, że aż pozłota na ramach i wszystkie srebrne przedmioty na toaletce zczerniały. Ojciec odchodził od zmysłów; przechodząc przez puste pokoje i kładąc się w nocy sam jeden do łóżka, czuł się jakby owdowiałym. Nazakupywał dla córeczki zabawek i ta śmiała się, kiedy pajac skakał na brzegu łóżka. Niekiedy zapytywała go o mamę i braci. Wtedy ojciec odchodził do kąta pokoju i kłaniał się z okna matce, a dzieciom posyłał w powietrzu całusy... A mama odpowiadała mu również całusami...

Ale oto razu pewnego chore dziecko nie chciało więcej patrzeć na pajaca, ani nie śmiało się już więcej. I mówić już więcej nie mogło. Przyszła śmierć i swemi okrutnymi koszlawami paluchy zadusiła dziecię! Walka z życiem była zażartą.

Wtedy matka wróciła do domu. Poczęły ją dręczyć wyrzuty sumienia, że rzuciła swe dziecko na łaskę losu. I było to jej wielkim smutkiem i niewypowiedzianym żalem...

Kiedy lekarz chciał dokonać sekcji na ciele dziecka, ojciec kategorycznie oparł się temu. Nie pozwolił, by sprawiano jej ból ostrymi nożami,

gdyż dla niego dziecko to nigdy nie mogło być martwym. Ale lekarz uparł się przy swoim. Wtedy ojciec chciał bić i kasać lekarza...

Kiedy ją pochowano, ojciec postawił na cmentarzu pomniczek i codziennie w ciągu roku chodził na grób. Następnego roku chodził już rzadziej. Pracę miał uciążliwszą, a i wolnego czasu coraz mniej...

Lata poczęły mu ciążyć, chód również stracił swą elastyczność, a kłopotów przybywało coraz więcej. Niekiedy czynił sobie wyrzuty, że smutek jego nie jest już tak wielkim, jak przedtem, a następnie przestał jakoś robić sobie wyrzuty. Przyszły na świat nowe dwie dziewczynki, ale te nie były już takie, jak tamta; nie, tamtej nic mu nie było w stanie zastąpić!...

Życie stawało się wprost okrutnem. Pozłota stopniowo schodziła z młodej kobiety, niepodobnej, zda się ongi, do żadnej kobiety na ziemi. Pozłota schodziła również i z mieszkania, dawniej tak czystego i okazałego; dzieci porozrzucały srebrne przedmioty w toaletce i ślubne prezenta matki, podrapały łóżka, połamały nóżki krzeseł. Przez dziury w sofie powyłaziły włosy na wierzch, fortepianu przez wiele lat nikt nie otwierał. Nie słychać było śpiewu, zagłuszał go krzyk dzieci kaszlących... Łagodne słowa pochowano dokądś, niby ubranka dziecięce, pieszczoty zastąpiono masażem...

Wraz ze zbliżaniem się starości, dało się odczuć znużenie. Ojciec już nie stawał na klęczki przed matką, ale usadowiał się na swem krześle wytłoczonym i kazał matce przynieść sobie zapalki, gdy chciał fajkę palić. Jednem słowem: starość...

Matka zmarła, gdy ojciec miał pięćdziesiątkę. Kiedy jej wynędzniałe, skażone śmiercią ciało, pochowano w ziemi — to wspomnienie czternastoletniej dziewczynki wypłynęło naraz w duszy ojca... Począł opłakiwać tę, którą tak dawno utracił i wraz z poczuciem jej utraty — zbudziła się w nim skrucha wobec zmarłej. Nie dlatego, ażeby był kiedy niedobry dla „starej“ mamy, ale dlatego, że nie przed nią, z którą się ożenił, gdy miała lat dwadzieścia cztery, ale przed tamtą czternastoletnią stawał na kolana, tamtej był wierny, i tamtą ubóstwiał...

I prawdę powiedziawszy, to właśnie tamtej mu było brak — dziewczyny, podlotka, jakkolwiek również dawał się we znaki brak dobrego wiktu, o który dbała dlań zmarła... Brak było także jej pieczołowitości bezustannej. Tak, to również dawało mu się odczuć, chociaż zupełnie inaczej!

Po tej stracie stosunek jego do dzieci stał się jeszcze bardziej serdeczny. Jedne z nich odleciały już z gniazda, inne były jeszcze w domu. Wreszcie po roku, w ciągu którego nadokuczał nieźle swym

przyjaciołom opowieściami o swojej zmarłej żonie, zaszło naraz „coś niezwykłego“...

Poznał się z jedną młodą dziewczyną, podobną do jego żony, gdy ta miała lat czternaście! Ujrzał w tem widomą łaskę miłosiernych Niebios, które snadź pragnęły przywrócić mu jego pierwszą miłość. Zakochał się w niej i — znowu ożenił...

Oto należała do niego. Ale dzieci — a zwłaszcza dziewczynki — zdradzały jawny wstręt do młodej macochy; wstydziły się nawet patrzeć na nią; wydawała się im wprost czemś potwornem ta zdrada ojca pamięci matki, przeto wszystkie opuściły dom rodzicielski...

On jednak był szczęśliwy! Najbardziej zaś z tego dumny, że wyszła za niego młoda dziewczyna...

— Babie lato! — mówili przyjaciele...

Po roku przyniosła mu w darze dziecko. Odzwyczał się już prawie od krzyku dziecięcego, to też narzekać począł, że spać nie może. Przeniósł się tedy do swego pokoju, skutkiem czego żona zaczęła zalewać się łzami. Wtedy on począł dowodzić, że: „kobiety są bardzo dokuczliwe“...

Nowa żona zaczęła mu wyrzucać, że „jej nie kocha, tylko pamięć swej pierwszej żony“. Był on bowiem rzeczywiście na tyle głupim, że — będąc narzeczonym — oświadczył jej, iż jest ona podobną do jego pierwszej żony! Wskutek tego życie w domu stawało się nieznośnem...

Siły jego wyczerpały się. Dwakroć spodziewał się ujrzeć ptaka-feniksa, odradzającego się z popiołów czternastoletniej dziewczynki. Najpierw w córce, następnie w drugiej żonie, ale we wspomnieniach jego żyła tylko ta pierwsza: mała dziewczynka z kościelnego dziedzińca, którą widział w ogrodzie pod lipami, kiedy kwitły truskawki i którą nigdy nie nazywał „swoją“...

Ale teraz, gdy słońce jego życia poczęło się chylić ku zachodowi, a dni stawały się coraz krótsze, teraz w godzinę zmierzchu nieodłącznie przed nim stawał wizerunek „starej mamy“, która tak kochała jego i dzieci i która nigdy nie złościła się, była nieładna, stała w kuchni i sama prasowała spodeńki malców i sukienki dziewcząt. A kiedy oczy jego poczęły widzieć wyraźniej, to nawiedzała go myśl: czy nie była ta „stara mama“ w istocie ptakiem-feniksem, ptakiem, który pięknie i spokojnie wyleciał z popiołów czternastoletniej złotej ptaszyny, co przyniosła mu tyle dzieci, dla których wydzieriała puch ze swych piersi i żywiła je krwią swoją, zanim odeszła ku wieczności?...

Długo rozmyślał nad tem, a kiedy wreszcie schylił na poduszki znużoną głowę, by nie podnieść jej więcej — to co do tego nie miał już... żadnych wątpliwości...



